

Dekada Literacka

Kraków ■ 1 VII — 15 VII 1991 r. ■ Dwutygodnik ■ Nr 25 ■ Cena 1500 zł

Fiut o Miłoszu • Havel o polityce i pokusach władzy • Najder o Conradzie i autorytetach • Imagiści w przekładach Szuby • Pierwodruk baśni Singera • Iwaniuka list z Toronto

Pod koniec epoki

Aleksander Fiut

Potrzeba dokonania bilansu całego życia dochodziła u Czesława Miłosza do głosu już niejednokrotnie. Nigdy jednak z taką siłą i bezpośredniością. Czytając „Notatnik” **Anny Kamińskiej** zawiera ocenę własnej postawy moralnej i religijnej, w **Beinecke Library** rozważa poeta pośmiertne losy swoich rękopisów, **Następca** — jakby echo wiersza **O młodszym bracie** — adresowany jest do przyszłych pokoleń. Gdzie indziej pisze: „Wyobrażam sobie ziemię kiedyś mnie nie będzie” (**Alte książki**, Kr 27). Prywatny ton własnych obrachunków nie przeszkadza przecież temu, że równocześnie, mniej lub bardziej jawnie, wiedzie Miłosz polemikę z tradycyjnymi sposobami ujęcia podobnych doświadczeń. Wiersze te dadzą się czytać jako spór z klasycznym toposem poety-starca. Mędrca, który spogląda na życie sub specie aeternitatis, z przekonaniem, że wszystko, co było mu dane przeżyć, przemyślał i doświadczył.

Klasyczna wersja tego toposu, który najdoskonalej chyba ucieleśnił Goethe, podkreślała to, co po stronie wiedzy, dystansu, rozumienia i sprawducha. Miłosz natomiast, przeciwnie, mocniej akcentuje niewiedzę, własne

uwikłanie w sprawy świata

uczucia i cielesność. Dokładniej: porusza się pomiędzy tymi opozycjami, wydobywając z nich szereg nieoczekiwanych możliwości. Stąd wyznania w rodzaju: „Nie udaję dostojeństwa rozważnej starości. / Nieprzetłumaczalny na słowa zamieszkałem w Teraz, / W rzeczy tego świata, które są i dlatego cieszą.” (**Rozmowa z Jeanne**). Albo: „Czy mogłem się spodziewać, że po długim życiu będę tyle tylko wiedział i umiał, żeby budząc się w nocy mówić: „Dziwne, dziwne, dziwne. O jak dziwne, jak dziwne. O jakie śmieszne i dziwne”. (NZ 139). Wiedza albo nie daje się zamknąć w słowa, burzy stereotypy, urąga temu, co zaczerpnięte z ksiąg:

Jest ze mną nieprzyjazna
i bystra świadomość
Nie opuszcza mnie w nocy
i udęczają mnie sny.
To znaczy wiem już tyle,
że chciałbym zakryć twarz.

Rozmowa o sławie, Kr 17

— albo obnaża swą niezgodność z prawdziwym rozumieniem: „Tak jakby wiedzieć, znaczyło rozumieć”

(**Sześć wykładów wierszem**, Kr 68). Równie często doświadcza niewiedza nawet o rzeczach, zdawałoby się, najprostszych: „Skąd u mnie ta potrzeba szczegółu, nie rozumiem” (**Bernardynka**, Kr 59) lub wiedza pozorną: „udaję tylko, że rozumiem o czym tak bystro traktuję” (**Trwoga-sen**, Kr 55). Przyjmując

rolę nauczyciela czy mistrza w swoich wykładach wierszem, Miłosz co chwilę podkreśla trudność przekazania własnych doświadczeń, które swoim zasięgiem objęły całe niemal stulecie, niemożność dotarcia do istoty zjawisk, uykającą słowu nieuchwytność pojedynczych ludzkich losów. Dla samego siebie również pozostaje: „Niejasny, tak jak każdy, kto był tam i wtedy” (Kr 68).

Podobnie dystans nie uwalnia od niepokoju i uwikłania w czas bieżący. Znamiennym tego przykładem, drukowane obok siebie, **Rozmowa z Jeanne** i **Wiersz na koniec stu-**

lecia, które poeta opatrzył następującym komentarzem: „Jeden wyrzeka się wszelkiego zagłębiania w problemy nękające od wieków umysły teologów i filozofów, wybiera chwilę i piękno ziemi oglądane na jednej z wysp Morza Karaibskiego. Drugi, wręcz przeciwnie, gniewa się, że ludzie nie chcą pamiętać i żyją jakby nigdy nie, jakby horror nie czekał się tuż pod powierzchnią ich społecznych urządzeń”. Świadom sprzeczności Miłosz dodaje: „Czy wolno wydrukować obok siebie dwa wiersze tak sobie przeciwstawne? Ja jeden wiem, że zgoda na świat w pierwszym kryje w sobie dużo zgrzyoty i że jest bardziej może ironiczna niż się wydaje. A niezgoda w drugim wymyka z tego, że gniew jest silniejszym bodźcem niż zaproszenie do filozoficznej dysputy”.

Starość przynosi zatem

inne wtajemniczenia

niezgodności i powszechnie z nią kojarzone. Niepewność lub iluzoryczność wiedzy, jeśli dystans, to wobec własnych uproszczeń, zainteresowanie okazywane bardziej ludziom niż filozoficznym problemom (niewystarczalność filozofii jest jednym z częstszych motywów). Zmierzch życia nie uwalnia również od pokus zmysłowych, nie skłania jedynie ku czystej kontemplacji i religijnym medytacjom, przeczny prymatowi

(C.D. NA STR. 4)



30 czerwca CZESŁAW MIŁOSZ ukończył 80 lat. „Dekada” składa Wielkiemu Pisarzowi najlepsze życzenia.

Polityka nie jest brudna

Vaclav Havel

Wystąpienie Václava Havla z okazji wręczenia mu Nagrody Sonninga (Kopenhaga, 28 maja 1991). Tłumaczenia dokonano na podstawie tekstu zamieszczonego przez dziennik „Lidové Noviny” 124/91.

Nagroda, którą dziś zostałem uhonorowany, jest przyznawana raczej intelektualistom niż politykom. Jestem tym, kogo chyba można nazwać intelektualistą, jednocześnie jednak zrzuceniem losu znalazłem się — i to właściwie z dnia na dzień — w świecie nazywanym wielką polityką. Proszę mi pozwolić, bym odwołując się do swego specyficznego doświadczenia, spróbował spojrzeć krytycznym okiem intelektualisty na fenomen władzy widziany dotąd, że się tak wyrażę, z zewnątrz, oraz przede wszystkim na charakter pokusy, jaką dla ludzkiej egzystencji przedstawia władza.

Dlaczego właściwie ludzie łakną władzy politycznej i dlaczego, gdy już ją

posiadają, tak niechętnie z niej rezygnują?

Powiedzialbym, że powody owego pragnienia podzielić można zasadniczo na trzy kategorie.

Po pierwsze: ludzie garną się do polityki kierowani swoimi wyobrażeniami o lepszym ustroju społecznym, wiarą w określone — dobre lub wątpliwe — wartości bądź ideały oraz potrzebą czy też niepohamowaną wolą ich realizacji lub walki w imię tychże ideałów.

Po drugie: prawdopodobnie kieruje nimi naturalne dla każdej ludzkiej istoty pragnienie autoafirmacji. Czyż można sobie wyobrazić bardziej atrakcyjny sposób utwierdzenia się w przekonaniu o ważności własnej egzystencji aniżeli ten, jaki podsuwa władza polityczna? Przecież już sama jej istota daje człowiekowi olbrzymią możliwość autoafirmacji poprzez pozostawianie w bardzo szerokim polu nader wyraźnych śladów swojego istnienia; może on kształtować otaczający go świat według własnych wyobrażeń oraz budzić respekt, niejako automatycznie przypisany do każdej politycznej funkcji.

Trzecią grupę powodów, dlaczego wielu ludzi łaknie politycznej władzy i dlaczego tak niechętnie się z nią rozstaje, tworzy bogata gama przywilejów towarzyszących nieodłącznie życiu polityka — także w ustrojach o najwyższym stopniu demokracji.

Według moich obserwacji owe trzy kategorie zawsze się w skomplikowany sposób przeplatają i często jest prawie niemożliwe określenie, która z nich dominuje. Zazwyczaj powody z kategorii drugiej i trzeciej pozują na powody z kategorii pierwszej; przynajmniej ja nie znam polityka, który byłby skłonny przyznać się światu — albo przynajmniej samemu sobie — że zabiega o jakieś stanowisko tylko dlatego, by się dowartościować lub też wyłącznie dlatego, by korzystać z przywilejów płynących ze sprawowania władzy politycznej. Jest wręcz odwrotnie: wszyscy stale powtarzamy, że nie chodzi nam o władzę jako taką, lecz o określone wartości ogólne i że to nasze poczucie odpowiedzialności wobec ogółu każe nam dźwigać brzemień funkcji w imię wartości, których jesteśmy obrońcami. Ale często jedynie Pan Bóg wie, czy jest tak naprawdę, czy też chodzi wyłącznie o łatwą do przelknięcia formułkę, za pośrednictwem której usprawiedliwiamy się przed światem i przed sobą z naszego pragnienia posiadania władzy, dzięki której możemy osiągnąć pełnię autoafirmacji.

Sytuacja jest o tyle skomplikowana, że potrzeba autoafirmacji nie jest przecież niczym godnym potępienia: jest to rzecz ludzka i trudno sobie wyobrazić człowieka, który nie pragnąłby uznania, akceptacji oraz uwypuklenia własnej egzystencji.

Jestem jednym z tych, którzy piastowane stanowisko polityczne traktują jako przejaw odpowiedzialności wobec ogółu, poczucia obowiązku, a nawet jako swego rodzaju poświęcenie. Przyglądając się jednak innym politykom, o których mam swoje zdanie i którzy twierdzą to samo co i ja, czuję się zmuszony do ponownego przyjrzenia się sobie i zadania pytania, czy jednak i ja nie zaczynam oszukiwać samego siebie i czy w moim wypadku nie chodzi bardziej o nie wyjawione pragnienie utwierdzenia się, że coś oznaczam, a zatem jestem, niż o autentyczną służbę sprawie. Krótko mówiąc: nabieram wobec siebie podejrzeń, zaś wyrażając się dokładniej — wszystkie moje dotychczasowe doświadczenia z polityką i politykami oraz wszystkie moje dotychczasowe spostrzeżenia zmuszają mnie, bym nabrał wobec siebie podejrzeń. Aby rosy one wraz z każdą przyznawaną mi nagrodą.

Na szczególną uwagę zasługuje wręcz trzecia kategoria powodów pragnienia władzy politycznej, a mianowicie chęć do korzystania z przywilejów, które owa władza ze sobą niesie, lub po prostu przywykanie do tych przywilejów. Niezmiernie ciekawe jest obserwowanie, jak diabelska jest pokusa władzy pod tym właśnie względem. Najlepiej uwidacznia się to u tych z nas, którzy wcześniej nie sprawowali żadnej władzy i zawsze bardzo odważnie potępiali rządzących za to, że korzystają z takich i owakich przywilejów pogłębiających przepaść między nimi a resztą, a którzy nagle znaleźli się u władzy.

(C.D. NA STR. 5)

Szeptem z Toronto

Wacław Iwaniuk

No i stało się! Na zaproszenie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich byłem w kraju. Ostatni raz, blisko 30 lat temu, gdy składałem podanie w Ottawie o udzielenie mi wize, doniesiono mi, że dla „wrogów Polskiej Ludowej” nie ma wiz. Czas potem leciał, a ja czekałem.

Teraz, gdy szedłem do konsulatu już naszego, polskiego, demokratycznego, nie miałem żadnych obaw. Wierzyłem, że otworzą się przede mną frontowe, wygodne podwoje, podobne do tych, które, jako młody adept w służbie zagranicznej, w latach przedwojennych widziałem w konsulatach polskich w Europie i Ameryce, że gmach symbolizujący w obcym kraju skrawek ojczyzny nie zawiedzie moich oczekiwań. Niestety, okropnie się zawiodłem. Wprawdzie gmach konsulatu polskiego w Toronto jest okazały, widziałem go nieraz przy różnych demonstracjach za komunistycznej władzy, teraz, po jej zmianie, frontowe wejście okazało się dalej zabarykadowane żelaznym płotem, waziatką ścieżką musiałem dostać się na tyły budynku, do pomieszczenia o obszarze większej ubikacji, do pasa wkopanej w ziemię, gdzie słońce dwa ogonki interesantów, czekały cierpliwie przy skromnych okienkach, gdzie przy jednym składano podanie o wize, a przy drugim, po wielu tam dniach, odbierano paszporty z wizami.

Ja, człowiek w starszym już wieku, sterany frontami, po wielu chorobach i ataku serca, cudem przeczekałem blisko godzinę, by złożyć podanie o wize. Wśród tłoku, płaczu dzieci, w dusznym pomieszczeniu stałem, myśląc, jak na zagranicznym ojczystym skrawku Polska przyjmuje swoich obywateli. Doprawdy, nie tylko wstyd, ale chyba i hańba! Bo przecież nie interesantów tylko obraża się, ale coś więcej — bo symbol polskości. A o krok są konsulaty inne, proszę wejść i zobaczyć, jak przyjmują swoich obywateli i gości, którym też należy się kulturalna obsługa.

Nieraz przyglądałem się, jak cicha boza krówka próbowała skrzydeł, by anielskim ruchem unieść się w powietrze, wyluskana przez wiatr, spadała na ziemię, piękna w kolorze i graficznym kształcie. Uparta, próbowała lotu

ponownie i ponownie, nie zrażona upadkiem. Tak bym określił mój pobyt w Toronto. Ale udobruchany, patrzę dziś inaczej na mój zakulisowy świat. Jestem tu, gdzie jestem, w mieście, w które wrosłem, jak świerz w skórę, choć ból ja odczuwam, a nie polindiański pociot.

Przyjechałem do kraju pozbawionego europejskiej urody, czcicieli jej piękna, gdzie myśl była koroną człowieka, wartościującego i wartościowanego. Osobiście, nie byłem wmieszany w intelektualne konszachty i spory, z religią byłem na bakier, nie z mojej jednak winy, bo kiedykolwiek zdradzałem chęć na bliższy z nią kontakt, trafiałem na kamienne milczenie. Wiem, że byłem prawdziwym niewypałem, w sprawach życiowych, pokraką, ale nie ja tylko. Nawet Miłosz w „Roku myśliwego” oskarża siebie o życiowe i intelektualne przywary.

Wiosna z pasem. Od północy płyną ciężkie zmęczone chmury, powierzchnia jeziora drętwieje. Czasem nadbiega gwałtowniejsza fala, spłoszone mewy zrywają się ze znanym nam trwożnym okrzykiem. Wiedzą, co je czeka. Wyczułem jednak, że ludzie tu są bardziej serdeczni, zwłaszcza dla zwierząt, od zdemoralizowanych Europejczyków.

W mieście zaczyna się ukazywać się wiosenne nastroje: bukiety kolorowych świateł, dysneyowskie wystawy, domy, handlowe opasane wieńcami neonów, na placach wyrastają drzewa, których tu wczoraj nie było, przywiezione z dalekiej północy, przed Ratuszem pełno kolorowej dzieciarni. Bo Toronto wszystkich przyjmuje, co jest smaczne i niesmaczne, ostatecznie jest to miasto-prowincja, pragnąca zaimponować światu.

My zaś, garść emigrantów, przywiązanych do samych siebie, do uczuć wyniesionych z kraju, wśród ogromnej większości zarażonej dolarem. Patrzymy na ich i nasz świat; który z nich jest martwy, a który prawdziwy?

Jezioro jest właściwe sednem tutejszego życia, przytacza nas swoim obszarem i historią, o brzegach zarzewnych i zabudowanych z małym dostępem dla pieszych. Wieżowce o

bezmyślnej konstrukcji, wprawdzie schludne, nie mają jednak prawdziwego piękna. Są martwe. Ich wnętrza są o wiele ciekawsze, bo przestronne. Z okien, których tu pełno, nadmiar światła. A obok jezioro, niby samo dla siebie, ale by z nami być i rozmawiać z nami. Wśród drzew i konstrukcji bardziej lub mniej przydatnych, widać w kilkusetmetrowej odległości piękne, zielone wysepki, połączone z miastem kursującym stale statkiem-promem. W lecie, wysepki pod okiem europejskich ogrodników zamieniają się w wielobarwny raj, z kwiatami ułożonymi w misterne rzeźby, przykuwające oko. Ludzie przyjeżdżają tu nie tylko by odpocząć, ale by marzyć o historii, o własnym szczęściu o przyszłości. Niestety, gwar emigrantów z Azji i Wysp Południowych, wnoszą zgrzyt do oczekiwanego nastroju. Na stołach matki rozkładają dymiące jeszcze potrawy, dzieci wnoszą właściwy im chaos, mężowie kopcą cygara, trawy pokryte prześcieradłami, i kocami tracą swój wdzięk, wyspa zamienia się w kolorowe targowisko ze wschodnim akcentem i zapachami nietutejszych potraw. Gdy do tego trafimy na piknik urządzany przez tutejszego włoskiego milionera, gdzie różne, nadszarpnięte czasem, piękności ubiegają się o Miss Pikniku i szeleje wszędobylska pizza, nie można mówić o pięknie wysepki. Ale są dni, gdy wyspy uwolnione od ludzkiego brzemienia, olśniewają i niejedną parę zakochanych sprowadzają przedwcześnie do ołtarza.

Nawet bym się nie spierał o ten przybrzeżny amulet zieleni, gdyż podobnych oaz, zwanych parkami, miasto posiada więcej, ale gdy budowano tam zagrodę z nierogacizną i bydłem, zaś obok założono szkołę dla maluchów, by praktycznie zapoznawały się z hodowlą i farmerką, przestałem odwiedzać wyspy, oddając się odleglejszym wyprom krajoznawczym.

Samo miasto zbudowane tak i siak, nie należy do cudów architektury, ani nie harmonizuje z otoczeniem. W dzikich, kolonialnych czasach, gdy oblaścawieni Indianie mieli tu też coś do powiedzenia, napływający emigranci nie myśleli o architekturze, gdyż prawdopodobnie nie znali tego słowa. Samo miasto ma dziwną namiętność, żyje enklawami. Gdyby nie one, urok jego spłynąłby w banalne dzielnice, bez specjalnego wdzięk. Torontońska enklawa są pochodzenia nie urbanistycznego, ale etnicznego. Emigranci wprawdzie są wszędzie, ale torontońscy, ze względu na mit Kanady, są wyjątkowi. Nie dzieli ich kolor, rasa, przekonania, ale pochodzenie.

Enkława polska była kiedyś jednolita, przylegała do obszernego parku, dotykając rąbkiem brzegu jeziora. Długa i brudna ulica, która stała biegła do śródmieścia, mimo pięknej nazwy, nie miała w sobie żadnego uroku. Mimo mego przyjazdu i wielu takich, jak ja, nie wypiękniała. Stare pokraczne sklepiki, handel starzyzną, brudne podwórka zawałone śmieciem, starymi oponami, połamanym sprzętem domowym, wszystko to dowodziło, by raczej omijać ulicę Królowej. Ale serce polskości było gdzie indziej, właśnie w pobliżu parku i prostopadłej do niego ulicy biegnącej na północ.

Emigracja niemiecka, powodowana chyba atawizmem dziejowym, upodobala sobie sąsiedztwo Polaków. Właściwie polonii przez małe „p”, bo prawdziwych Polaków należy szukać tu ze świecą. Znaleźli się oni w Kanadzie po drugiej wojnie i, by nie było zamieszania, nazwali się emigracją polityczną. Między nami a starą Polonią powstała zasadnicza różnica, bo nasze początki zaczęły się od zakładania społecznych, kulturalnych i politycznych organizacji, domów i klubów polskich, siedzib kombatanckich, teatralnych imprez i uroczystości narodowych, pozabawionych oklepanego, polonijnego tradycjonalizmu. Myśmy wnieśli tu Polskę, kombatancką, gdy oni, spóźnieni chyba o sto lat, kontynuowali swoje prymitywne tradycje, z zezem na propagandę z komunistycznego kraju. Do tego udawali zagorzałych Kanadyjczyków, choć widać było, iż nie wsiąkli w tutejsze anglosaskie społeczeństwo, byli etniczną grupą, oddaloną jak my od Polski. Etnik to raczej ni pies ni wydra, coś ubliżającego, zwłaszcza wśród Anglosasów kanadyjskich. Można powiedzieć, że nasi ludzie w Kanadzie nie spalisz się i chyba nie z ich winy przedwojenna robotnicza i rolnicza emigracja były zarobkowe, zaś po wojnie wszędobylski nadwiślański reżim starał się ten stan utrzymać.

Emigracja przetrwała, zaś stara Polonia będzie dalej wegetować w cieniu tutejszego społeczeństwa, o ile nie odrzuci jej kraj, zmuszając do bardziej twórczej działalności. Dolar jednak był i jest dalej jej wewnętrznym motorem, rzesze obecnych dezertów z Polski, przedsiębiorczych i jurnych młokosów dowodzą, że celem ucieczki ich z kraju był dolar.

PS. A o historycznym zjeździe Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Warszawie, który prawdopodobnie zmieni losy współczesnej literatury polskiej, chyba w następnym „Szeptcie”.

Co nowego w prasie?

Majowy nr TWORCZOŚCI w wiosennej błękitnej okładce zamieszcza m.in. tekst niezbyt zharmonizowany z witalną porą roku: jest to esej Stanisława Cichowicza pt. „Gwałt na idei? Reakcja życia? Ta krótka, lecz wysoce erudycyjna praca jest zwięzłym przeglądem postaw ludzkiej myśli wobec fenomenu śmierci — poczynając od filozofów starożytności, a na współczesnych kończąc. Żyjemy w czasie ku śmierci i bolemy nad tym w większości, wbrew pociechom, jakie daje religia lub filozofia, a nawet nauka — tym niezaprzeczalnie słusznym stwierdzeniem rozpoczyna autor swój szkic, by po wielu cytatach ze słynnych myślicieli „zakńczyć go w sposób raczej dyskusyjny: Publikacje thanatologiczne mają przecież prócz teoretycznych celów jeden praktyczny: nauczyć ludzi sztuki dobrego umierania. A czyż ta ogromna (...) twórczość nie miała (...) oswoić człowieka, jeśli nie pogodzić ze śmiercią? Być może

rozmaitość terapeutycznych środków mortualnych pochodzi stąd, że nie każde środki, nie w każdych okolicznościach cywilizacyjnych i sytuacjach egzystencjalnych, nie każdej wspólnoty i nie każdej osobie odpowiadają. Dalej następuje cytata z Elzenberga: Śmierć tym większym bywa postrachem, im życie jest uboższe i bardziej wegetatywne, a im bardziej duchowe, kulturalne, bogate w siły i w pełni rozwinięte, tym lęk przed śmiercią jest mniejszy. A nie przeciwnie, jak można by pomyśleć. To, co się w nas boi śmierci, to organizm, roślina, w chwilach zaś, gdy życie jest cenniejsze, myśli się o śmierci z taką pogodą, że niemal jak o koronie życia.

Trudno o lepszy przykład zadufania intelektualisty a zarazem przykład magicznego stosunku do śmierci, jej „zamawiania” i wmawiania sobie, że można się z nią oswoić i pogodzić. Optymizm tego cytatu, a może i tej interpretacji literatury thanato-

logicznej, samemu autorowi esaju wydał się chyba nadmierny, skoro zauważa na koniec: ... łógos próbuje nieprzejednanego Thanatosa oblaścawić.

Wróćmy do prozy życia (kulturalnego). W artykule „Papierowy towar” (PRAWO I ŻYCIE nr 24) Joanna Konieczna analizuje rynek czasopism. Jest on zdominowany przez popularne tygodniki (ich pierwsza szóstka to: „Przyjaćielka” — 1 mln 333 tys. nakładu, „Skandale” — 1 mln, „Jestem” — 1 mln, „Detektyw” — 610 tys., „Kobieta i Mężczyzna” — 480 tys., „Nie” — 450 tys.). Ale pisma tzw. dawniej dla inteligencji, czyli tygodniki społeczne wciąż trzymają się niezłe: „Polityka” — 307 tys., „Wprost” — 160 tys., „Prawo i Życie” — 120 tys., „Przegląd Tygodniowy” — 94 tys. To co zagraża im najbardziej, to rozkład kolportażu. Liczba kiosków spada na lew, na sypkę. Te, które jeszcze zostały, nie są przystosowane do ekspozycji aż tylu tytułów (Ruch sprzedaje ich ok. tysiąca). W tej sytuacji kioskarze zamawiają i eksponują to, co sprzedaje się najlepiej — raczej nie są to kulturalne, niskonakładowe periodyki. Czytelnik pyta o tytuł, a tytułu nie ma, bo się nie oplaca. Na tę nienormalną sytuację zwróciła uwagę rzeczniczka praw obywatelskich w wystąpieniu do Urzędu Antymonopolowego. Z

kolportażowej zapaści autor-ka stara się wysnuć wnioski optymistyczne: Może więc teza, że czytelnictwo spada i zalamuje się (mowa oczywiście o czytelnictwie pism wartościowych — przyp. J. L.) uca-

le nie jest tak zupełnie prawdziwa? Może zwroty (...) nie wynikają z braku zainteresowania tytułem, tylko z niemożliwości jego zdobycia?

J.L.

Konkurs literacki „DEKADY”

W JAKIM KRAJU ŻYJEMY?
Nadzieje — złudzenia — fakty

„DEKADA LITERACKA” ogłasza pod tym tytułem konkurs na krótkie (do 7 str.) opowiadanie, reportaż i esej. W każdej z tych kategorii przewidujemy trzy nagrody oraz wyróżnienia. Termin nadsyłania prac do 1. października br.

Jednocześnie zwracamy się z apelem o poparcie finansowe, które pozwoli podwyższyć sumę przeznaczoną na nagrody.

Listę sponsorów ogłaszać będziemy w miarę dokonywania wpłat. Prace prosimy nadsyłać w 3 egzemplarzach, opatrzone godłem, w zaklejonej kopercie prosimy podać imię, nazwisko i adres autora. Najlepsze prace będą drukowane na łamach „Dekady”. Na kopercie dopisek: „Konkurs Dekady Literackiej”. (Wysokość nagród i skład jury ogłosimy w późniejszym terminie). Adres — w stopce redakcji.

O Conradzie i autorytetach

Rozmowa ze Zdzisławem Najderem



Fot. ZBIGNIEW POMASKI

BOGDAN ROGATKO: Jest Pan autorem wielu prac o Conradzie, jego życiu i twórczości. Czy był jakiś szczególny powód, dla którego zainteresował się Pan autorem „Lorda Jima”?

ZDZISŁAW NAJDER: Powód był konkretny, polityczno-filozoficzny. W latach czterdziestych toczyła się na łamach prasy dyskusja o Conradzie. Otworzył ją szkic Jana Kotta „O laickim tragizmie”. Kott atakował Conrada za rzekome zalecanie bezkrytycznego służenia kapitalistycznemu armatorom, a przede wszystkim za głoszenie „wierności samejmu sobie”, która okazuje się w istocie awanturnictwem. Tak naprawdę chodziło jednak o atak na sam ideał wierności — broń ją go w pięknym szkicu o Conradowskim pojęciu wierności pani Maria Dąbrowska — i na Conrada jako na pisarza, który kształtował postawy młodzieży akowskiej. Atakującym chodziło o zdyskredytowanie autorytetów moralnych, które mogły przemawiać przeciwko podporządkowaniu się „logice dziejów” w postaci ideologii zwycięskiego komunizmu. A mnie właśnie pociągał taki opór w imię zasad, a nawet wbrew praktycznemu rozsądkowi.

Czy można więc powiedzieć, że w twórczości Conrada znajdował Pan potwierdzenie potrzeby autorytetu moralnego w życiu człowieka?

— Conrad nie był bezkrytycznym głosicielem etyki kodeksowej, a konkretnie etyki honoru. Ale był w literaturze światowej jednym z niewielu wybitnych pisarzy (po nim przyszli Faulkner i Saint-Exupéry) podejmujących bardzo złożoną problematykę etyki zasad. Dla nas, wychowanych na Sienkiewicza i Zeromskim, jest ona mniej egzotyczna niż dla innych. Wracając do sprawy autorytetów Otóż w etyce honoru występują sędziowie, arbitrzy. Można się tu odwołać do „Młodych” Mówiar w uroszczeniu: pewne zasady obowiązują bezwzględnie. Natomiast ocena, czy ludzie postępują zgodnie z nimi, należy do tych, których nazywamy arbitrami. Należy do innych wojowników pod murami Troi. Oni są autorytetami w szczególnym sensie — są oni częścią tego łańcucha społecznego, w którym dany etos wyrósł, dla którego ten etos jest uzasadnieniem. Nie są to więc autorytety indywidualne, lecz zbiorowe. Mówiąc inaczej: etyka honoru, zwana też etyką rycerską, to jest etyka wierności zasadom wytworzonym przez ludzkość w jej dziejowym rozwoju, pierwotnie przez klasę wojowników. Nie jest to etyka odwołująca się do transcendencji, odwołuje się ona do tradycji, a

stróżami tej tradycji są ludzie, których uznajemy właśnie za autorytety.

A jakie są Pana autorytety moralne?

— Trudno mi odpowiedzieć wprost. Na pewno są tacy ludzie, których opinie moralne szczególnie poważam, poważam to, że wykazali się i uczciwością, i wrażliwością. Bo nie wystarczy prowadzić życie nieskazitelne moralnie, by stać się autorytetem, potrzebna jest jeszcze owa społeczna wrażliwość. I jeżeli moje poglądy na inne kwestie niż moralne różnią się od poglądów tych właśnie ludzi, odczuwam to boleśnie.

Mówi Pan oczywiście o ludziach nam współczesnych. A czy mógłby Pan wymienić postacie z historii, które stały się dla Pana „autorytetami”?

— Nie potrafiłbym znaleźć w historii takich osób, z których opiniami miałbym się liczyć bezwzględnie.

Tak sztywno pojęcia autorytetu nie rozumiem. Chodzi mi raczej o pewien model postawy, wzór postępowania bliższy Panu niż inne.

— Pewne postawy mogły być mi bliższe kiedyś, teraz są mi bliższe inne. Ale mam też takie postacie, do których stosunek mój nie uległ właściwie zmianie. Takim modelem postępowania, w sensie społecznym, w sensie politycznym, był dla mnie od dziecka Piłsudski, ale oczywiście nie we wszystkim. Już jako dziecko spotykałem się z tym, że mimo życia w kulcie dla Marszałka zdobywano się jednocześnie na dystans w stosunku do jego niektórych decyzji i do jego różnych sformułowań. W pewnym sensie autorytetami są ludzie, czy grupy ludzi — na przykład polegli w Powstaniu Warszawskim — którzy poświęcili życie tym idealom, które my deklarujemy. I czuję obowiązek, wobec nich, aby nadawać sens ich życiu — przez dążenie do tego, czego oni nie zdolali czy nie zdążyli osiągnąć. Sądzę, że podobnie musieli to odczuwać legionści Piłsudskiego na przykład. Niektórych z nich spotykałem potem na emigracji i miałem wrażenie, że jeszcze stale żyją pod moralną presją śmierci swych kolegów.

Mówimy tu stale o autorytetach moralnych przede wszystkim. A autorytety artystyczne?

— Sztuka rozwija się w ramach zespołów konwencji, które niektórzy ludzie rozpoznają i rozumieją lepiej niż inni i oni są, powinni być, autorytetami. Ale opowiem o pewnym przypadku dyskusyjnym. Otóż dla mnie przed laty autorytetem w dziedzinie poezji był Wacław Borowy. Tylko że był on całkiem nieczuły na poezję Baczyńskiego, mnie osobiście bardzo bliską. Przez jakiś czas nie byłem więc pewien, kto z nas ma rację. Dopiero potem doszedłem do wniosku, że jest to po prostu sprawa pokolenia. Borowy zatrzymał się właściwie na Leśmianie. W zakresie jego gustu byli jeszcze wcześniej skamandryci i nie później. Słuch poetycki Borowego nie był już wrażliwy na to przedziwne skojarzenie Norwida z polskim barokiem, charakterystyczne dla Baczyńskiego. Tak więc, penetrując tajniki konwencji, sami dla siebie stajemy się autorytetem.

To znaczy, że w sztuce ceni Pan przede wszystkim mistrzostwo niezależnie od uprawianej konwencji, niezależnie też od rodzaju sztuki.

Czy jednak może Pan powiedzieć, że pewne konwencje w sztuce, np. w literaturze, są Panu bliższe niż inne?

— Gust człowieka zmienia się na ogół z wiekiem, ale jednocześnie powinny być w sztuce takie wartości, dla których nasz szacunek byłby stały. Dla mnie poeta, którego ceniłem zawsze bardzo wysoko, jest Kochanowski. Dyskutowałem na ten temat w 1966 roku z Czesławem Miłoszem, twierdząc, że nie przyznaje Kochanowskiemu należnej mu rangi.

Miłosz ceni bardziej np. Mickiewicza i innych romantyków.

— Tak, ale to zastanawiające, że nie doceniał wielkości Kochanowskiego. Ja nie widzę w ówczesnej Europie poety, który by mu dorównał. Był on geniuszem języka. Pisał niedawno Zygmunta Kubiak, że są w poezji Kochanowskiego zdania, które brzmią jak wyznania ostateczne. To prawie jak cytaty z Przybosa, który był co prawda niedobrym poetą, ale miał parę dobrych sformułowań. Sądzę, że istnieje pewna granica, związana z wiekiem człowieka — czy to będzie zwykły czytelnik, czy też nawet profesjonalista — granica percepcji, wrażliwości na konwencje. Chwalebne jest więc zachowanie ostrożności w ocenie nowych zjawisk w sztuce, które być może do nas już nie przemawiają. Gdy mówię o konwencjach, najchętniej posługuję się przykładami z malarstwa...

...w którym różnice między konwencjami są na pewno wyraźniejsze, bardziej ostre.

— Jeśli chodzi natomiast o poezję, to przez długie lata autorytetem w tej dziedzinie był dla mnie Zbyszek Herbert. Wiele wieczorów przegadaliśmy na ten temat, wzajemnie się podszczypując. I to jego poezja jest mi najbliższa, również ze względów biograficznych. Mogę powiedzieć, że wiele wierszy, w latach pięćdziesiątych zwłaszcza, powstało na moich oczach. Omaliliśmy rozmaite ich wersje.

Gdy mowa o biografii, to proszę powiedzieć, od kiedy polityka zdominowała Pańską działalność i z jakiego powodu?

— Powód był tak prosty, że aż żenujący. W połowie lat siedemdziesiątych doszedłem do przekonania, że trzeba się w Polsce zająć poważnie polityczną działalnością programową, aby być przygotowanym na zmianę ustroju, która w moim mniemaniu wcześniej czy później musiała nastąpić. I ponieważ nikt się jakoś do tego zadania nie kwapił, sam się nim zająłem, wciągając w to innych ludzi, takich jak przede wszystkim mecenas Olszewski, z którym do dziś blisko współpracuję. Pierwsza osoba sprowadzona na manowce. I potem to już tak poszło. Trzy lata stawałem opór przed objęciem Radia Wolna Europa, ale wmawiano mi, że nikogo innego nie widzą. Do Komitetu Obywatelskiego przyszedłem też z poczuciem obowiązku, na prośbę obecnego prezydenta. Ale nie ukrywam, że czasem mam szczerą ochotę z tego wszystkiego się wykręcić. Przeszkadza mi w tym świadomość, którą ugruntowali we mnie rodzice, szczególnie ojciec, świadomość grozy obowiązku wiszącej nad człowiekiem. Ale polityka to niestety całe pasmo nieporozumień, wmawianie ludziom

obcych im intencji. Nie twierdzą, że jestem pozbawiony ambicji, ale czuję się dotknięty, gdy przypisuje mi się wyłącznie dążenie do władzy. Muszę powiedzieć, że przypisywanie sobie przez ludzi zajmujących się polityką nierzezywistych intencji prowadzi do galimatiasu, do poważnych wpadek politycznych. Można by na wołowej skórze o tym pisać. Człowiek coś mówi, a jest to rozumiane zupełnie inaczej...

Był Pan inspiratorem, rzekłbym nawet, że twórcą Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, które stawiało sobie za cel intelektualne przygotowanie polskiego społeczeństwa na zmianę politycznego ustroju. Czy może Pan już teraz wymienić kilka osób z tego zakonspirowanego wówczas grona?

— Oprócz Jana Olszewskiego należy przypomnieć niezjącego niestety Andrzeja Kijowskiego, a także blisko z nami związanego, choć dojeżdżającego z Krakowa, Jana Józefa Szczepańskiego, którego literacki dystans był nieraz bardzo potrzebny, no i naszego beniaminka, Wojciecha Włodarczyka, obecnie mojego współpracownika w KKO. Ale autorami gromadzonych przez nas i wydawanych dokumentów byli też Jerzy Holzer, Andrzej Micewski, Tadeusz Mazowiecki, Jacek Woźniakowski i wielu, wielu innych. Najmniej znany jest — niezasłużenie — profesor Wojciech Roszkowski, piszący pod pseudonimem Andrzej Albert. Spotkałem go, i to przypadkiem, dopiero kilka tygodni temu, a tyle jego tekstów przeszło przez moje ręce! Drogi tych ludzi rozeszły się w rozmaite strony, toczyły nieraz ze sobą żałosne spory. To wskazuje, jak ekumeniczna była ta grupa. Wtedy jednak wszelka walka o władzę była niemożliwa. No bo jak anonimowi mają walczyć o władzę?

Od pewnego czasu w Polsce obserwujemy wyraźny upadek autorytetów w życiu społecznym. Czy to zjawisko jest związane ze zmianami ustrojowymi, czy też ma ono o wiele szerszy kontekst?

— To prawda, upadek autorytetów jest wprost fatalny! Ubiegły rok to rok klęski elit politycznych. Można to wytłumaczyć w sposób ogólnikowy i prosty, można też analizować dogłębnie. Poprzednią na tym pierwszym opisie. Elity przywódcze, zwane solidarnościowymi, jak gdyby nie zauważyły, że zmieniły ustrój, a więc, że zmieniły się reguły gry. To tak jak te ryby, które wyszły nagle z wody i nie zauważyły, że są już na piasku. Jeżeli jest się rybą głębinową, to wcale nie znaczy, że się będzie też rybą na płyciźnie. Czas, w którym obecnie działamy, wymaga innych zachowań, w inny sposób niż dawniej zdobywa się poparcie społeczne, do innych grup trzeba dotrzeć. O ile kilkanaście lat temu wystarczyło mieć wpływ na elity społeczne, które promieniowały na klasę wielkoprzemysłową, to teraz liczą się tak jak w każdej demokracji postawy mas. I z tym się trzeba pogodzić w momencie zmiany ustroju, nie później.

Przetwarzają się liczyć intencje, liczy się już tylko skuteczność działania.

— Niewątpliwie bardzo dobrze jest być przekonanym o czystości, o szlachetności swych intencji, ale w demokracji trzeba przekonać o tym innych. Jeżeli ktoś tego nie robi, to niech nie narzeka, że przegrał, że się go nie doce-

niał. Po prostu nie przestrzega nowych reguł gry. Druga istotna sprawa, o której pisałem będąc jeszcze na emigracji: za długo stosowano zasadę, która była dobra w okresie konspiracji — zasadę centralizmu decyzji, no i dyspozycyjności tych, którzy razem z nami działają. Niektórzy nazywają to bolszewickimi metodami rządzenia, ale to są po prostu metody tyrowo-konspiracyjne. Z chwilą, gdy się kończy okres konspiracji, trzeba albo wprowadzić monarchię czy dyktaturę, albo pozwać ludziom mówić rozmaitymi głosami i z tych głosów dopiero tworzyć wielość w jedności. Dążenie natomiast do zachowania decyzyjnej jedności musi prowadzić do konfliktów. Między innymi dlatego autorytety w zeszłym roku fatalnie przegrały, z wyjątkiem jednego, ale on też wyszedł z walki przedwyborczej ogryziony i obszarpany. Sam zresztą w ogniu ataków nie zawsze zachowywał się tak jak należało. No i wszyscy przez to stracili. Podrywanie tego autorytetu okazało się szczególnie dotkliwie, kompromitowało inne autorytety. Przecistawianie elit masom było nie tylko samobójstwem tych elit, ale było to wręcz działanie przeciw narodowi. Elity mają przewodzić, a nie obrażać. A jeżeli nie umieją przewodzić, to niech się nauczą.

Jaki zatem ma wpływ upadek autorytetów na aktualne nastroje społeczne i jaki może mieć wpływ na przyszły kształt naszego społeczeństwa?

— Mamy obecnie do czynienia ze zjawiskiem zbiorowej frustracji: chcemy mieć autorytety, chcemy mieć nawet proroków, ale wszystkie dotychczasowe autorytety zostały w jakiś sposób skompromitowane, nawet ośmieszzone, lub też ludzie cieszący się społecznym autorytetem stracili zaufanie, bo eksportowali nasze najbardziej nieprzyjemne konflikty za granicę. No i powstaje próżnia, której nie ma czym zapelnąć. Bo oto głosi się filozofię sukcesu materialnego, a hasło sprawiedliwości społecznej uważane jest za „przyswoite”. Kościół zostaje wmanewrowany w sytuację, w której też traci autorytet, ponieważ nie zajmuje się tym, co ludzi najbardziej boli, tzn. krzywdą społeczną. Przeciwnie, co wywalczyli nowy ustrój, teraz najbardziej dostają w skórę. Kościół jakoś o tym nie mówi, zajmując się sprawami doktrynalnymi, które w odczuciu społecznym nie są najpilniejsze. To jest niewątpliwie sytuacja bardzo niezdrowa. Nie wierzę, by Polsce groziła autorytarna dyktatura, bo na to nie ma możliwości, natomiast Polsce grozi jakiś taki objanie się od ściany do ściany i grozi masowa absencja w wyborach. Bedziemy brnąć więc w sytuację, w której dalej będzie dominowała struktura państwowa, ale bez twardego szkieletu. Bo np. prezydent, ustawiany jako taki temperamentalny dzierzymorda nie spełnia tych oczekiwań. Natomiast dąży do tego, żeby nie było wyraźnych liderów. Sam o tym mówi: nie pozwolę, żeby ktoś wykościł wszystkich innych. Jest to co prawda szlachetna zasada krzewienia demokracji, ale to też uniemożliwia stworzenie twardej struktury państwa, która jest nam obecnie potrzebna. Może wyłoni się ona z wyborów. Ale to jest już przedmiotem następnej i ostatniej.

Bardzo Panu dziękuję.

Rozmawiał: BOGDAN ROGATKO

Pod koniec epoki

(C.D. ZE STR. 1)

spraw ducha nad sprawami ciała. Poeta zwiedza niebo po to tylko, by dowiedzieć, że jego doskonałość jest — w sposób paradoksalny — niedoskonała, bowiem nie zawiera w sobie ułomności bytowania ziemskiego, poddanego przemijaniu i śmierci: „*Pokój wieczny / Nie mógłby mieć poranków i wieczorów. / A to już dostatecznie mówi przeciw niemu*” (Jak powinno być w niebie, Kr 18). Jeżeli oddaje się kontemplacji — to piękna ziemskiego. Jeżeli zbliża do transcendencji — to z odległości, nie mogąc zrozumieć „*skąd wiara, że tętno niecierplivej krwi / Spełnia zamysły milczącego Boga*” (Książ Ch po latach, NZ 94). Nawet argumentu za istnieniem Stwórcy szuka nie w sferze wiary i teologicznych spekulacji, lecz doznań zmysłowych. W tym, że „*tylko On potrafi spisać rejestr bólu, / Pogodzenia, błogości, grozy i ekstazy*” (Argument, Kr 28). Bez Niego — tak dla poety cenne i ważne — rozpięłyby się w nicności. Sam zaś poeta podkreśla, że nie czuje się „*prorokiem*”, kimś „*wybranym*”, lecz „*z defektem i świadomy tego*” (Wyznanie, Kr 16). Tym defektem jest przywiązanie „*do ziemskich rozkoszy*”.

Marian Stala twierdzi, że w ostatnich wierszach Miłozza bardziej niż dawniej, w twórczości lat siedemdziesiątych, kładzie nacisk na „*wątek heraklitejski*” niż na „*perspektywę wieczności*”. „*Intensywność i bezpośredniość doznania, jak i poczucie bliskości drugiej strony*” bytu nie zmieniają faktu jej zasadniczej niewyobrażalności i niemożności pełnego zrozumienia. (...) Stąd, jeżeli znaleźć można w „*Kronikach*” jakąś teologię, to nie jest to teologia religii czy wiary, lecz właśnie (daleka od optymizmu) *teologia nadziei*”. Te sprostowania wydają się trafne. Natomiast zbyt skrajny i sprzeczny z nim jest wniosek, że główny temat *Kronik* stanowi „*daremność wysiłków usensownienia egzystencji, oparcia się nicności władającej widzialnym światem*”. Wysiłki owe są, zapewne, kruche i rozpaczliwe, ale czy naprawdę „*daremne*”?

Wymowne światło na tę sprawę rzuca wędrowka i zmiany sensu jednego z najbardziej ulubionych motywów Miłozza, a mianowicie — sięgającego rodowodem aż do Biblii — obrazu świata jako utkanego przez Boga gobelinu. W wierszu *O aniołach* one właśnie spacerują „*Tam gdzie na lewą stronę odwrócony świat (...) oglądając prawdomówne ściegi*” (P 361). W *Nieobjętej ziemi*, oglądającego tłum na lotnisku nawiedza nieoczekiwanie uczucie „*Ze to tylko zła strona jakiegoś gobelinu. / I że za nią jest druga, wyśniewająca wszystko*” (Świadomość, NZ 73). Podobny motyw pojawia się w *Sensie*. Nadziei, że

Kiedy umrę,
zobaczę podszewkę świata.
Drugą stronę, z ptakiem,
górami i zachodem słońca.
Wzywające odczytania
prawdziwe znaczenie.

— jak cię towarzyszy wątpliwość:
— A jeżeli nie ma podszewki świata?

przewyciężona szukaniem oparcia w tym, co ludzkie:

Gdyby tak było,
to jednak zostanie
Słowo raz obudzone
przez nietrwale usta.

Wszystko to, raz jeszcze,
odsłania do zasadniczej

opozycji wieczności i momentalności

„*Kiedyś wyobrażałem sobie — wyznaje poeta — że w starożytności rozmyślałem nad tym, co wieczne, wyniesione ponad przemijanie, ale widzę, że jest inaczej, że cała moja uwaga jest zwrócona ku temu, co ulotne*”. I dodaje: „*Na zarzut, że nie umiem powoli wznosić się ku transcendencji, odpowiadam jak klasycy Zen: ulotne i wieczne są być może niby dwie strony tego samego arkusza*” (Kr 15).

W swojej recenzji *Kronik* zauważa Barańczak, że „*to, co ulotne (zmysłowe, człowiecze, śmiertelne, historyczne, ograniczone, iluzoryczne), i to, co «wieczne» (duchowe, boskie, nieśmiertelne, ponadczasowe, wszechwyjaśniające, prawdziwe), to dwie strony tego samego medalu*”. Dalej dodaje, iż „*Opozycja «ulotne — wieczne» przekłada się (...) również na rzeciwstawienie «małości» i «wielkości», ludzkiego «defektu» i boskiej doskonałości, nieistotności i doniosłości*”. Te człony opozycji dąłoby się zapewne dalej uzupełniać. Ważniejsze jednak, że „*czas ukazuje się tu w całej swojej dialektycznej złożoności, jako czynnik niszczący i zarazem jako to, w czym przechowuje się i ocala istota naszej egzystencji*”. Takie ujęcie, zauważa badacz, jest polemiką Miłozza z tradycją elegijną, lamentującą nad przemijaniem świata. Z tym wiąże się dwie przeciwstawne koncepcje stosunku poezji do czasu. Poezja albo jest sposobem „*celebrowania zatrzymania czasu*”; wiersz — „*rzadkim rozbliskiem iluminacji, w którym czas się zatrzymuje, moment staje się wieczny*”, albo przeciwnie, „*poezja może też być celebrowaniem właśnie przepływu i wpływu czasu*”. Odpowiadają temu „*wiersze-epifanie*” i „*wiersze-kroniki*”. Jak wyjaśnia Barańczak, „*Różnica polega (...) na tym, że gdy w wierszach-epifaniach (...) migawkowa technika służy zatrzymaniu, unieruchomieniu momentu, w wierszach-kronikach moment nie przestaje nigdy być składnikiem płynącego czasu i zmieniającego się świata*”.

Do tych celnych uwag dodać wypada, że w obydwu typach wierszy dość podobnie — co ciekawe — układa się relacja podmiot-przedmiot. Albo rozpatwia się on niejako w opisywanym, niezależnie od tego, czy jest to pojedyncza chwila, jak w *Sezonie*, czy ciąg wydarzeń, jak w *Tytaniku*, albo, przeciwnie, świadomie oscyluje pomiędzy dawnym i obecnym, kiedyś przeżytym i zobaczonym a teraz wspomnianym. O odmienności decyduje zdolność ewokacji czasu minionego i utożsamienia się z kiedyś żyjącymi ludźmi. Ale czy tylko? *Kroniki* są przecież zapisem nie tylko samych wydarzeń, ale i duchowych przygód kronikarza (stąd chyba liczba mnoga w tytule tomu). Opowiadają zarówno o jego przemianach w czasie, jak o dążeniu do samopoznania, przeniknięcia do jądra własnego „*ja*” i wy-

tyczenia jego granic. Świadczy o tym choćby wiersze otwierające pierwszą i drugą część tomu.

W *Sezonie*, moment zatrzymania czasu uwalnia poetę od roli medium, ale nie pozwala o niej do końca zapomnieć: „*Rozległe państwo umarłych zaczynało się wszędzie (...) Ale nie musiałem tam wchodzić, nie wzywało mnie*” (Kr. 9). Inaczej w drugim z wymienionych wierszy (Kr. 31):



Fot. ANDRZEJ STAWIARSKI

Te głosy, które przeze mnie
mówiły
Są moje i nie moje, słyszane
z daleka.
Ale kim jestem teraz ja sam,
ten prawdziwy,
Inny niż greckie chóry
i odbite echa?
Więc znowu mam zaczynać
od początku,
Uwalniać się od snów,
którymi wiek nasz łudził?

Na poły świadome i nie do końca kontrolowane

przekazywanie cudzych słów

nie pozwala określić dokładnie ich źródła, zagraża świadomości tego, który jest ich instrumentem oraz budzi podejrzenie, że odgrywa on tylko zadana rolę (stąd „*greckie chóry*”). Ale równocześnie stwarza szansę dotarcia do ukrytej prawdy zarówno „*nawiedzonego*” jak epoki. Do jakiegoś „*początku*” wiedzy i samowiedzy.

Próby podsumowania pojedynczego, własnego życia są zatem dla Miłozza okazją do refleksji nad całym dwudziestym wiekiem. Temat ten powraca — poza drugą częścią *Kronik*, zatytułowaną *Dla Heraklita* — w takich utworach, jak *W Yale* oraz *Wierszu na koniec stulecia*. *Kroniki* — tytułem nawet — nawiązują do *Kronik miasteczka Pornie*. Podobna technika przywoływania pojedynczych zdarzeń, wybranych szczegółów i jednostkowych świadectw służyła tam skonstruowaniu syntezy losów bretońskiego miasta podczas Rewolucji Francuskiej — tutaj jest sposobem ujęcia mijającej epoki. Dokładniej: tego okresu czasu, który objęła biografii poety. Przyjmując rolę kronikarza Pornie, odtwarzał — w oparciu o gotowe świadectwa — wypadki sprzed ponad wieku. Z ludźmi z tego

okresu potrafił przecież zadzierzgnąć wież zrozumienia i współczucia. W losach mieszkańców Bretanii dostrzegł bowiem przeznaczenie tych wszystkich, którzy stali się ofiarami opętania ideą gruntownej przebudowy świata, skrywającą — pod przebraniem szczytnych hasel — obojętność wobec wartości etycznych, pogardę dla jednostki i przekonanie, że można zawiadnąć kierunkiem historii.

W cyklu *Dla Heraklita* spadkobiercy francuskich rewolucjonistów przygotowują się do rządów światem (Kr 54):

Czego się przestraszyli?

„*(...) Ze nic nas nie cionn, ani pieniądź, ani przebieganie się co wieczór do obiadu, ani zapach cygar, ani postęp? Ani obyczaj, ani grzeczna i odważna służba, ani greka i łacina w szkole, ani prawo, ani kocioty, ani nauka, nic*” (Kr 45). Odkrycie na nowo kruchości ludzkich urządzeń oraz śmiertelności człowieka, którego nie broni już religia, głosząca ostateczne przekroczenie prawa natury, mościły drogę dla wielkiego eksperymentu. Kosztował on ludzką dwie wojny światowe, miliony ofiar i nową formę niewolnictwa. O tym wszak wie kronikarz bogatszy o znajomość przyszłych wypadków. Rezygnuje przecież z osądu:

Brak wiedzy, beztraska
niewinnych
Wołałyby o pomstę, wzywały
wyroku

Gdybym to ja był sędzią,
Nie będę, nie jestem.

„*Sześć wykładów wierszem*”.

Kr 72

Historia nie interesuje Miłozza ani jako ciąg ważnych, politycznych wydarzeń, ani jako system filozoficzny. Jej rytmem i prawdziwą treścią są pojedyncze ludzkie losy. Także tych wszystkich, co w mijającym stuleciu oddychali „*Nierozumem? Uludą? Ideą*” (*Sześć wykładów wierszem*, Kr 68). Zatem oprawcy — a ofiary, ludzie bliscy i nieznan, przelotnie spotkani lub jedynie wspomniani w prasowej notatce, postaci historyczne i fikcyjne. Panna Jadwiga, bibliotekarka, która zginęła pod gruzami domu podczas Powstania Warszawskiego, piękna Niemka, ujrzana na plaży Adriatyku, Nansen i pan Anusewicz. Tytuł innych pochłonęła niepamięć. Poetę dręczą

ciekawość ludzkich spraw

niezależnie od miejsca i czasu wydarzeń, bez względu na ich — pozorna — blahość:

(...) Na przykład Abel Faivre.
Kim był? Jak wyglądał?
Która z nich kładła rękę
Na ramieniu, kiedy rysował?
Która zamknęła mu oczy?

„*Portrety sukien*”, Kr 42

A w *Nieobjętej ziemi* Miłozza zanotował, że przedmiotem jego kontemplacji „*nie była przyroda. Było nią społeczeństwo ludzkie w wielkich miastach nowożytnej epoki*”. „*Uciechy nieprawionego zwierzęcia*”, jak powiada Baudelaire (NZ 140). W *Kronikach* dodaje: „*W młodości nie spodziewałem się, że będę tak zafascynowany ludźmi, ich codziennym istnieniem w czasie, dniem, rokiem (...)*” (Kr 63). Fascynacja ta nabiera tym większego dramatyzmu, że ludzie ci byli i minęli w czasie, który obejmuje jedno tylko życie. Rzecz można, że fragmentaryzm *Kronik* obrazuje pojawienie się i znikanie ludzkiego istnienia. Często w okolicznościach szczególnie tragicznych. Gdy ci — naturalne — przemijanie nabiera wskutek paroksyzmów historii wyjątkowej intensywności i tempa. Doradza kronikarz:

Kto może, niech unika
Współczucia, tego bólu
wyobraźni.
Więc nie będę dokładny
Ledwo urywki, zarys.

„*Sześć wykładów wierszem*”.

Kr 60

Jak zauważył Stala, u Miłozza „*podstawą ludzkiego bytowania, a więc też najistotniejszą treścią prawdziwej historii, jest cielesne, pogrążone w czasie, skazane na prze-*

Polityka nie jest brudna

(C.D. ZE STR. 1)

Albowiem mimowolnie zaczynamy się — niekiedy aż nazbyt niebezpiecznie — upodabniać do potępianych wcześniej poprzedników. Przeszkadza to nam, denerwuje nas, ale z czasem stwierdzamy, że nie potrafimy lub po prostu nie możemy się przed tym obronić.

Przytoczę kilka przykładów. Byłoby zapewne niedorzecznością, gdyby minister nie stawiał się na ważne posiedzenie rządu, w programie którego była dyskusja nad projektem ustawy mającej przez parę dziesiątków lat istotnie wpływać na funkcjonowanie państwa, tylko dlatego, że bolal go ząb i minister całe przedpołudnie musiał czekać na swoją kolejkę u dentysty. Wobec tego, w interesie kraju, odwiedza specjalny gabinet dentystyczny, gdzie nie musi czekać.

Byłoby zapewne niedorzecznością, gdyby polityk nie stawiał się na ważne spotkanie ze swoim zagranicznym partnerem tylko dlatego, że był skazany na nieobliczalność komunikacji miejskiej. Ma zatem do dyspozycji służbowy samochód oraz szofera.

Byłoby zapewne niedorzecznością, gdyby jakiś prezydent lub premier nie stawiał się na takie spotkanie tylko dlatego, że na ulicach były korki i jego służbowy samochód po przejechaniu każdego dziesięciu metrów musiał stać przez dziesięć minut. W takiej sytuacji korzysta ze specjalnego uprawnienia do wyprzedzania czy nawet do jazdy na czerwonym świetle, ewentualnie z faktu, że w jego wypadku policja drogowa toleruje takie wykroczenia.

Byłoby zapewne niedorzecznością, gdyby polityk tracił drogocenne godziny pocąc się w kuchni przy gotowaniu oficjalnego obiadu swemu zagranicznemu vis-à-vis. Ma więc do dyspozycji kucharkę oraz kelnerów.

Byłoby zapewne niedorzecznością, gdyby kucharz prezydenta chodził od jednego sklepu do drugiego — tak jak to czyni normalna gospodyni w post-socjalistycznym kraju — w poszukiwaniu dostatecznej ilości mięsa, które bez wstydu można by zaserwować dostojnemu gościowi. Dlatego też prominenci oraz ich kucharze korzystają ze specjalnych dostaw.

Nie mniejszą niedorzecznością byłoby, gdyby prezydent lub premier wyszukiwał w książce telefonicznej potrzebne mu numery, po czym zajmował się sprawdzaniem, czy ktoś jest w domu, czy też w urzędzie i czy jego telefon nie jest akurat zajęty. Wobec tego logiczne jest, że wyszukiwaniem i wybieraniem numerów facygują się podlegli mu urzędnicy.

Razumując: chodząc do przydzielonych mi lekarzy, nie muszą prowadzić samochodu, zaś mój kierowca nie musi, zły do wściekłości, wlec się ślimaczym tempem przez Pragę, nie muszą gotować ani kupować jedzenia, ba, jeśli zechcą z kimś rozmawiać przez telefon, nie muszą się nawet trudzić wybieraniem numeru.

Zatem: funkcjonuję w świecie przywilejów, wyjątków, protekcji. W świecie prominentów, którzy już powoli zapominają, ile kosztuje bilet tramwajowy czy masło, jak zaparzyć kawę, jak się prowadzi samochód oraz jak korzystać z telefonu. Znalazłem się więc na progu owego świata komunistycznej śmietanki, który przez całe życie krytykowałem.

Najgorsze zaś jest, że wszystko to ma swoją żelazną logikę. Wystawiłbym się na pośmiewisko i byłbym godny potępienia, gdybym nie brał udziału w rokowaniach służących interesom mego kraju wskutek tego, że trwonilibym swą prezydencką kadencję w poczekalniach dentystów, w kolejkach do rzeźnika, na doprowadzającej do pasji walce z rdzewiejącą praską siecią telefoniczną oraz na beznadziejnych próbach złapania w Pradze taksówki, skoro — jak widać — nie jestem człowiekiem z Zachodu, a więc i nie mam dolarów.

Gdzie jednak kończy się logika oraz obiektywna konieczność, a zaczyna się wykrety? Gdzie kończy się interes ojczyzny, a zaczyna się radość z uniwersalnej protekcji? Czy znamy i w ogóle jesteśmy zdolni uchwycić moment, kiedy nie chodzi już nam o interes kraju, dla którego się poświęcamy tolerując swoje przywileje, a zaczyna nam chodzić o przywileje, które usprawiedliwiamy interesem kraju?

Przyznam, że trzeba wysokiego stopnia autorefleksji oraz krytycznego dystansu do siebie samego, aby człowiek przy władzy moment ten potrafił uchwycić, choćby nawet jego

pierwotne zamiary były jak najszlachetniejsze. I aczkolwiek sam toczę nieustanną — raczej z małym powodzeniem — walkę z przysługującymi mi przywilejami, to nie mógłbym powiedzieć o sobie, że ów moment umiem zawsze trafnie określić. Człowiek się przyzwyczaja, odzwyczaja, aż w końcu — nawet o tym nie wiedząc — może utracić swój dawniej niezawodny krytycyzm.

Zatem raz jeszcze: będąc przy władzy, jestem w stosunku do siebie permanentnie podejrzliwy. Ba — mam teraz więcej zrozumienia dla tych, którzy swój bój z pokusami władzy powoli zaczynają przegrywać i wmawiając sobie, że nadal służą wyłącznie

zakupy, parzy kawę i telefonuje, nie jest już tym, który to potrafił całe życie. Człowiek, który nigdy nie musiał obserwować siebie okiem telewizyjnej kamery, a który nagle analizuje każdy swój ruch poprzez jej spojrzenie, nie jest już tym, kim był.

Staje się jeńcem swojej pozycji, swoich przywilejów, zajmowanego stanowiska. To, co go pozornie utwierdza w jego tożsamości, a tym samym i w egzystencji, w rzeczywistości go własnej tożsamości oraz egzystencji pozbawia. Przestaje już kierować sobą samym, ponieważ kieruje nim coś innego: piastowane stanowisko, związane z nim wymagania, wynikające zeń konsekwencje oraz towarzyszące mu atrybuty — przywileje.

Jest coś śmiercionośnego w owej pokusie: pod płaszczykiem egzystencjalnej autoafirmacji egzystencja ulega wywłaszczaniu, okradaniu i obumieraniu. Człowiek kamienieje w swoje popiersie. Wprawdzie popiersie podkreśla jego nieprzemijające znaczenie i chwale, lecz jednocześnie jest to tylko kawałek martwego kamienia.

Kierkegaard napisał *Chorobę na śmierć*. Pozwól sobie sparafrazować waszego słynnego rodaka i powiedzcie „władza na śmierć”.

Co z tego wszystkiego wynika? Z całą pewnością nie to, że zajmowanie się polityką jest niesłuszne, ponieważ polityka z założenia demoralizuje.

Wynika tu coś innego: polityka jest sferą ludzkiej działalności, która stawia zwiększone wymagania moralności, zdolności krytycznej autorefleksji, autentycznej odpowiedzialności, gustowi i taktowi, umiejętności wnikięcia w dusze innych, poczuciu umiaru, pokorze. Jest to zajęcie dla ludzi o wyjątkowej skromności. Dla ludzi, których nie można okłamać.

Kłamią wszyscy ci, którzy utrzymują, że polityka jest brudna. Polityka jest po prostu pracą dla ludzi nieskazitelnie czystych, ponieważ właśnie uprawiając politykę można się bardzo łatwo ubrudzić moralnie.

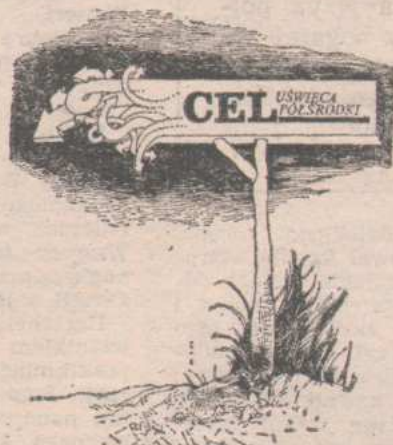
Tak łatwo, że mniej czujna osobowość może tego w ogóle nie zauważyć.

Polityka winni się zatem zajmować ludzie wyjątkowo czujni. Wyjątkowo uczuleni na towarzyszącą jej dwuznaczną ofertę egzystencjalnej autoafirmacji.

Sam nie wiem, czy należę do tego typu ludzi. Wiem tylko, że skoro objąłem swój urząd, powinienem się do nich zaliczać.

Przełożył:

JAN STACHOWSKI



Rys. ALEKSANDER PIENIEK

krajowi, zaczynają się coraz niebezpieczniej utwierdzać w przekonaniu o swojej nocy i coraz niebezpieczniej przyzwyczajają się do przywilejów jako do czegoś oczywistego.

W pokusie władzy jest coś bardzo podstępnego, zwodniczego i dwuznacznego: z jednej strony władza polityczna daje człowiekowi wspaniałą okazję, by od rana do wieczora przekonywał się, że istnieje naprawdę oraz że ma własną, niezaprzeczną tożsamość, która każdym jego słowem i czynem bardzo wyraźnie odciska się na otaczającym go świecie. Jednocześnie jednak w tejsze władzy politycznej oraz we wszystkim, co logicznie jest do niej przypisane, ukrywa się straszliwe niebezpieczeństwo, a mianowicie: pod pozorami afirmacji dyskretnie, lecz systematycznie odbiera nam ona naszą egzystencję i tożsamość.

Albowiem człowiek, który zapominał, jak prowadzi się samochód, robi

miżanie doświadczenie konkretnej osoby". Poetę przecież nie mniej zaciekawiają losy zbiorowości oraz przemiany ludzkich wyobrażeń, gustów, przyzwyczajają, idei. Z perspektywy minionego czasu można je zobaczyć wyraźniej, dokładniej, a nawet dokonać nieoczekiwanych odkryć.

Zdumiewające, ale koniec wieku jest właściwie powrotem do jego początków:

Kiedy już było dobrze
I znikło pojęcie grzechu
I ziemia była gotowa
W powszechnym pokoju
Spożywać i weselić się
Bez wiar i utopii,

„Niersz na koniec stulecia”
— Powraca tedy ludzkość do
ulubionych zajęć
Na wielkiej przerwie. Smak i
dotyk

Dwie jej są. Książki
cucharskie,
Przepisy na seks doskonały,
zasady
Obniżające cholesterol, metody
Szybkiego odchudzania się —
to jej potrzebne.

„W Yale. I. Rozmowa”

Kresowi ideologii, końcowi religii oraz deifikacji nauki towarzyszy — przynajmniej w kulturze Zachodu — praktykowanie i upowszechnianie na masową skalę,

dwudziestowieczna wersja hedonizmu

Kult ciała, zdrowia, młodości oraz doznań zmysłowych znajduje swoje dopełnienie i przedłużenie w kulcie sztuki, która staje się jakby substytutem religii:

Imion bogów zapomniano,
zamiast nich mistrzowie,
Unoszą się w obłokach,
Święty Van Gogh, Matisse,
Goya, Cézanne, Hieronymus
Bosch,
Razem z plejadą mniejszych
kręgiem akolitów.

Łatwo słyszalna ironia w pierwszym i drugim wierszu stąd, że na tę nową przemianę „znieprawionego zwierzęcia” patrzy ktoś, w kogo pamięci pozostają „żywe istoty / Każda z jej własnym bólem, / Każda z jej własną śmiercią, / Z jej własnym przerażeniem”. Kto nie ma się do kogo

zwrócić
Z tą całą ciemną sprawą
Bólu i razem winy
W architekturze świata.

Oddawaniu się bezinteresownej kontemplacji dzieł sztuki może na przykład przeszkadzać bolesne wspomnienie malarza, którego płótna spłonęły podczas wojny, on zaś sam został rozstrzelany. Ale to nakłada szczególne obowiązki. W obliczu śmierci i zapomnienia wyjątkowej wagi nabiera ocalająca moc dzieł sztuki, także poezji. Miłośz powtarza z uporem: „Czego chcę? Żeby było. Co? Czegoż już nie ma. (Trytony, Kr 53). Pragnie

(...) koniugacją chronić od
nicości.
Sam pewnie w mocy potęg,
które oglądają mnie
I przenoszą w jakąś
nad-formą gramatyczną.
„W słoju”, Kr 11

Zestawił ciągłe odwoływanie się przez Miłosza do

malarstwa. Oczywiście, już wcześniej — jak wskazywałem — poświęcał mu poeta sporo uwagi. Dotyczy to nawet konkretnych obrazów, z których dałoby się w tej poezji ułożyć sporą galerię. Wystarczy przypomnieć „Upadek Ikara” Breughla w *Świecie*, „Dwie kurtyzany” Carpaccia w *Nie więcej*, „Ogród ziemskich rozkoszy” Boscha w *Nieobjętej ziemi* czy „Portret z kotem” Marjorie C. Murphy w *Kronikach*. Raz nawet Miłosz tworzy piórem obraz, który prawdopodobnie nie istnieje (Maria Magdalena i ja). Ale opisana w cyklu zatytułowanym *W Yale* orzechadzka po uniwersyteckiej galerii ma znaczenie szczególne. Uświadamia, że poprzez kontemplowanie sztuki możliwe stają się inna wiedza, nieosiągalna inaczej mądrość, doskonała forma dystansu. Już nie tylko czerpanie z każdego mijającego momentu życia jego zmysłowego piękna, raniącego tym bardziej, że pierzchliwego i zabarwionego myślą o śmierci. Sztuka może pojedynczą chwilą przenieść w

wymiar swojej wieczności

tam, gdzie nie dociera zgiełk historii i ustaje niepokój zmysłów. Nawet wówczas, gdy dawno już nie ma ani twórcy, ani tych, których utrwalił pędzlem. Możliwe jest przy tym osiągnięcie równowagi pomiędzy czystą, estetyczną kontemplacją, zachwytem nad układem kształtów i kolorów, a odruchem współczucia z ludźmi, których ślad obecno-

ści jest jedynie elementem kompozycji.

Lekcji właściwego patrzenia udzielają, według Miłosza, Balzac i Baudelaire. Przypomniana przez tego ostatniego w „L'Exposition Universelle de 1855”, anegdota mówi, że autor *Komedii ludzkiej*, oglądając jakiś obraz przedstawiający pejzaż z domem, z którego kominu sycił się dym, miał wykrzyknąć: „Jakie to piękne! Ale co oni robią w tej chacie? O czym myślą, jakie mają zamartwienia? Czy zbiory dobrze się udały? Pewnie mają jakieś terminy płatności?” Co komentując, Baudelaire stwierdza: „Często oceniając obraz kierować się będą jedynie sumą idei i dumań, które pozostawi w moim umyśle”.

Jaka „suma” idei i dumań pozostawia w umyśle Miłosza galeria w Yale? Oglądając Turnera „Zamki St. Michael, Bonneville, Savoy”, poza pejzażem — opisanym dokładnie, z dbałością o oddanie zarówno anegdoty obrazu jak jego walorów czysto malarskich — uwagę poety przyciąga „wieśniaczka w czerwonej / Spódnicy, czarnym staniku, białej / Bluzce”, która „coś niesie (pranie do strumienia) Nie rozróżnić twarzy, kropka za ledwie. Ale szła tędy, widziana przez malarza I została na zawsze, tylko po to, Żeby dopełniła się jego własna,

Jemu jednemu odkryta harmonia
Złoto-niebiesko-różawa.

W Yale. III. Turner

Podobnie w obrazach Constable'a i Corota najważniejszą łowiący ryby chłopczy „Zapatrzeni w pławiki” oraz „Trzy kobiety”, „Beczka tłoczy mężczyzna”. Innymi słowy, pewnego typu malarstwo zdaje się być dla Miłosza wzorem doskonałym mimesis, spełnia przynajmniej wszystkie jej warunki. Ocala i wydobywa z nicości dawno minionych ludzi, a zarazem oczyszcza dzieło sztuki z elementów przypadkowych. Zatrzymując uwagę na wybranym szczególe, nadaje mu niezwykłą intensywność. Pozwala zatopić się w chwili, której artysta nadaje wymiar wieczny. Utrwała wreszcie sam akt patrzenia. A Miłosz, jak wiadomo, dąży do tego, by

Być samym czystym
patrzeniem bez nazwy,
Bez oczekiwań, lęków

i nadziei,
Na granicy gdzie kończy się ja
i nie-ja.
„To jedno”, Kr 10

Aleksander Fiut

Fragment rozszerzonej wersji książki Aleksandra Fiuta pt. „Moment wieczny. Poezja Czesława Miłosza”, której krajowa edycja ukaże się za kilka miesięcy nakładem wydawnictwa PEN.

STRASZNA GOSPODA

Isaac Bashevis Singer

ISAAC BASHEVIS SINGER, laureat Nagrody Nobla, autor licznych opowiadań i powieści, z których większość przetłumaczono na język polski, pisywał również bajki. Wyrosłe z bogatej żydowskiej tradycji i przesycone odwieczną talmudyczną mądrością, bajki te są źródłem poznania tak blisko istniejącej obok nas, a odchodzącej już w przeszłość, kultury.

Zdawało się, że otworzył się śnieżny skarbiec nieba. Śnieg padał dnem i nocą, czasem prosto z nieba, a czasem ukośnie. Niekiedy powietrze kręciło się w kółko jak pies goniący za własnym ogonem. Wszystkie drogi były zaśnieżone. Gałęzie drzew lśniły od lodu jak ramiona kryształowych kandelabrow. Pośrodku pola stał strach na wróble. Drżał na wietrze łopocąc łachmanami i szaleńczo się śmiejąc.

Na wzgórzu porośłym ostami, obok młyna ze złamanym skrzydłem i kuźni z od dawna wygaszonym paleniskiem, znajdowała się gospoda wiedzmy Doboszowej. Była to wdowa po Doboszu, sławnym rozbójniku. Przez czterdzieści lat Dobosz napadał na gościńcach Polski, rabując kupców udających się do Warszawy, Krakowa, Gdańska oraz Lipska i zebrął znaczny majątek. Kiedy go w końcu złapano i powieszono, Doboszowa poślubiła Lapiduta, swego obecnego męża, pół człowieka, a pół diabła. Zamieszkali w gospodzie rzucając czary na wędrowników, którzy przypadkiem zapuścili się w ich strony.

Doboszowa uwięziła trzy dziewczyny, które zostały jej służącymi. Jedną nazywała się Rajce, drugą Lajce, a trzecią Najce. Rajce miała czarne włosy i oczy, Lajce blond włosy i niebieskie oczy, a Najce rude włosy i zielone oczy. Dziewczęta harowały przez cały dzień. Nocą spały na strychu na sianie razem ze szczurami i polnymi myszami. Wielokrotnie próbowały uciec, lecz Doboszowa i Lapidut zaczarowali drogę, tak że nie prowadziła donikąd. Za każdym razem, gdy któraś z dziewcząt próbowała uciec, kręciła się w kółko i do ena wyczerpana wracała do gospody. Kiedy to się działo, Doboszowa moczyła trzećcinową różgę w pomyjach, aby jej nadać elastyczność, a Lapidut wymierał dziewczynie trzydzieści dziewięć uderzeń.

Latem wędrowcy rzadko odwiedzali gospodę, lecz w zimie, gdy zamiecie zacierają drogi, wędrowcy często błądzili i nie brakowało ofiar. Tego ranka trzech młodych ludzi zboczyło do gospody. Jeden nazywał się Herschel. Szedł pieszo do jeziewi w Lublinie i podczas zamieci skręcił w niewłaściwą stronę. Drugi Welwel, jechał saniami do Lwowa, by zakupić towar do sklepu swego ojca. Zasnął i spadł ze sań. Pośród wycia wichury woźnice nie dosłyszeli jego krzyków. Welwel wędrował w poszukiwaniu schronienia i w końcu dotarł do gospody Doboszowej. Trzeci z nich, Lajbel, wracał do

domu z dalekiego miasta, gdzie studiował kabałę, starodawne hebrajskie księgi odkrywające tajemnice nieba i ziemi. Na pożegnanie jego mistrz wręczył mu w podarunku kawałek kredy mówiąc: „Jeśli tym kawałkiem kredy zakreśliś krąg wokół jakiegось człowieka lub zwierzęcia, to go w nim uwięzisz. Nie tylko nie będą mogli uciec, lecz nikt nie będzie mógł wejść w ten magiczny krąg”. Kreda jednak nie mogła pomóc podczas burzy śnieżnej i Lajbel też przybył do gospody.

Kiedy Doboszowa i Lapidut zobaczyli trzech młodych gości, ucieszyli się. Doboszowa wyglądała jak zwyczajna właścicielka gospody. Lecz jak wszystkie czarownice miała dobrze ukryty pod czepcem zmierzwiiony pukiel włosów. Lapidutowi wyrastał na czole krótki i gruby róg. Szczęsywał jednak starannie na twarz swe rozwichrzone włosy, by go ukryć. Trzej młodzi ludzie byli na wskroś przemęczeni i zziębnięci. Doboszowa zaprowadziła ich do pieca, by wysuszyli ubranie i rozkazała rozpalić w piecu piekarniczym.

— Z pewnością jesteście głodni — powiedziała do młodych ludzi. — Bądźcie tak dobrzy chwilkę zaczekać. Zawaszczęstujecie swych gości gorącymi, świeżo upieczonymi bułeczkami. — Do Lapiduta zaś rzekła.

— Idź do studni i utocz wody do beczki, aby nasi goście umyli ręce i pomodlili się przed jedzeniem.

Trzy dziewczęta: Rajce, Lajce i Najce wiedziały, czeka młodzieńców, lecz nie odważyły się ostrzec ich ani jednym słowem. Po pierwsze, gdyby Lapidut je schwytał na gorącym uczynku, zachłostałby je na śmierć. Po drugie, zdawały sobie sprawę, że wszystkie drogi prowadzą z powrotem do gospody.

Wszyscy wzięli się do roboty. Rajce dorzuciła drewno do pieca. Lajce nasypała mąkę do misy i przyrządziła ciasto. Najce zamiesiła je i uformowała w bułeczki. Doboszowa posypała je czymś podobnym do kminku. W rzeczywistości było to ziło, którego sam zapach wywoływał po upieczeniu koszmarny sen u tych, których Doboszowa chciała usidlić. Kiedy bułeczki były upieczone i miano je wyjąć z pieca, Doboszowa powiedziała do młodych ludzi:

— Obok beczki znajdziecie trzy czerpaki i trzy ręczniki. Idźcie umyć ręce. Kiedy będziecie gotowi, gorące i chrupiące bułeczki zostaną wyjęte z pieca. Poczujecie ich zapach.

— Pani jest dobrą gospodynią — rzekł Herschel.
— Chciałbym znaleźć żonę podobną do pani — dodał Welwel.

— Dobre traktowanie podróżnych przynosi szczęście — oznajmił Lajbel studiujący kabałę.

Każdy z nich wziął do ręki czerpak i pochylił się nad beczką. W tej chwili korzenny zapach posypanych ziółem bułeczek wywarł swój efekt. Wszyscy trzej młodzi ludzie nagle poczuli oszołomienie i zaczęli śnić.

Herschel śnił, że był niewolnikiem w obcym kraju, poskramiaczem dzikich zwierząt. Jego pan książę, kazał mu nauczyć ogromnego lwa, zwanego Arieh, najniebezpieczniejszych sztuczek. Herschel miał nauczyć lwa, by trzymał rozwarte szczęki, kiedy wkłada głowę w paszczę bestii. Po czym zwierzę miało zaciśnąć szczęki, tak, by nie zranic Herschela i na dany rozkaz uwolnić go.

W końcu sztuczka została opanowana i nadszedł dzień, gdy Herschel miał popisać się nią w obecności księcia i jego dworu. Herschel znajdował się w klatce lwa, dokonując ostatniej próby przed przedstawieniem. Włożył głowę do paszczy lwa, poglaskał go po karku i po chwili zawołał: „Arieh, dość!” Lecz Arieh nie rozwarł szczęk. Herschel znów go poglaskał i popieścił: „Arieh, dość! Otwórz paszczę!”

Ale lew ani drgnął. Natomiast zaczął ryczeć tak przeraźliwie, że Herschel poczuł, jak krew krzepnie mu w żyłach. Ryk nie ustawał i natężył się, aż Herschel z trudnością mógł złapać oddech. „Boże, ratuj mnie!” — modlił się.

Taki był koszmarny sen Herschela.

Welwel też śnił, że znajduje się w obcym kraju. Nikogo tam nie znał. Szukał pracy, lecz nie mógł jej znaleźć. W końcu musiał zebrać, by nie umrzeć z głodu. Pewnego późnego popołudnia znalazł się na gęsto zabudowanej ulicy. Przez furtkę wszedł na dziedziniec. Zawrócił, by z niego wyjść, lecz zapadł zmrok i nie mógł znaleźć wyjścia. Zawołał, lecz nikt go nie usłyszał. Macając wzdłuż muru, znalazł otwór. Wszedł weń, mając nadzieję wyostać się z powrotem na ulicę. Zamiast tego napotkał schody prowadzące w dół. Mrok pogłębił się. Nagle znalazł się w dużym pokoju. W blasku jedynej naftowej lampy dostrzegł sztabę złota i beczki wypełnione monetami. Wszedł przypadkiem do podziemi królewskiej mennicy.

Welwel zdawał sobie sprawę, że jeśli go tu znajdą, to wezmą za złodzieja. Szukał w pokoju otworu, którym tu wszedł. Wkrótce go znalazł, lecz w tej właśnie chwili zjawili się dwóch robotników i zaczęło go zamurowywać. Skulił się w kącie, aby go nie dostrzegli, zdawał sobie jednak sprawę, że musi stąd wyjść, zanim ukończą pracę, gdyż w przeciwnym razie zostanie pozbawiony chleba i wody, a może nawet powietrza.

Czy odważy się poprosić robotników, by go wypuścili? Pomyślał, że znalazł się tu, by ukraść złoto. Wezwął straż. Zakują go w kajdany i wciągają do lochu. Mogą go torturować. W końcu zdecydował, że woli zdać się na łitość robot-

ników niż zostać pogrzebanym żywcem w królewskim skarbcu. Właśnie gdy wychylił się z kąta, ostatnią cegłę położyli na miejsce, a lampa zgasała. Poczekaćcie — zawołał ze wszystkich sił, lecz było już za późno.

Taki był koszmarny sen Welwela.

Lajbel śnił, że znajduje się na pustyni. Był głodny i spragniony. Po długim poszukiwaniu, znalazł jedynie wyschły strumień, pośrodku którego leżały węże, krokodyle i jaszczurki. Zdawały się równie głodne i wysuszone jak on. Ich szeroko rozwarte paszcze ukazywały ostre zęby. Pień drzewa był przetrzucony przez łożysko strumienia. Po drugiej stronie Lajbel dostrzegł gaj palm daktylowych, okalających migoczącą sadzawkę. Lajbel uświadomił sobie, że jeden fałszywy krok może stracić go między potwory. Lecz jego pragnienie było tak silne, że gotów był na podjęcie tego ryzyka. Wszedł na pień drzewa i rozłożył ręce dla utrzymania równowagi przy przechodzeniu przez strumień.

Dotarł do połowy strumienia, kiedy zobaczył zbliżającą się ku sobie kobietę, w której od razu rozpoznał czarownicę. Na głowie miała rozwichrzone loki, a palec u stóp zrosnięte błoną jak u gęsi. Chociaż pod żadnym względem nie była podobna do Doboszowej, w jakimś sposób mu ją przypominała.

Lajbel zatrzymał się. Wpaść w ręce takiej istoty było czymś gorszym niż zostać pożartym przez krokodyla. Gdy odwrócił się ostrożnie, by cofnąć się, spostrzegł nadchodzącego diabła. Krótki róg, kręcący się jak bąk, sterczał mu na czole. I choć nie był podobny do Lapiduta, w jakimś sposób przypominał go Lajbelowi.

— O Boże, co teraz poczuję?! — wykrzyknął z przerażeniem Lajbel.

Taki był koszmarny sen Lajbla.

W jednej chwili, wszyscy trzej: Herschel, Welwel i Lajbel — obudzili się. Ich koszmarny sen, które wydawały się tak długie, w rzeczywistości trwały zaledwie parę sekund. Wszyscy trzej stali wciąż pochyleni nad beczką, kiedy dobiegł ich głos Doboszowej:

— Dlaczego nie myjcie rąk, moi kochani? Dziewczęta wyjmują już bułeczki z pieca.

Wszyscy trzej oszołomieni umyli się i wytarli ręce. W końcu zasiedli do stołu. Herschel i Welwel mieli właśnie pobłogosławić chleb i zacząć jeść. Gdyby to uczynili, byłiby zgubieni, gdyż prócz diabelskich nasion, Doboszowa domieszała do ciasta płynu, który pozbawia ludzi własnej woli. Lajbel jednak nagle wykrzyknął:

— Poczekaćcie!
— O co chodzi? — spytał Welwel.

— Dlaczego? — dodał Herschel.

— Jedzcie, młodzieńcy — ponagliła Doboszowa przymiłym tonem.

— Co takiego? — mruknął Lapidut.

— Kiedy nabierałem czerpakiem wodę, zgubiłem w beczce pierścione — pośpiesznie wyjaśnił Lajbel. — Był to rodzinny klejnot pochodzący od króla Salomona, który otrzymał go w darze od królowej Saby. Pokazuje on drogę do ukrytych skarbow, zatopionych okrętów i karawan zasypanych piaskiem na pustyni. Może też uleczyć chorych i przywrócić młodość starcom. Błagam was, pomóżcie mi odnaleźć mój pierścień.

Mimo że posiadali tak wiele skarbow, chciwość Doboszowej i Lapiduta była nienasycona. I co ważniejsze, bardzo

pragnęli odzyskać znów młodość. Kiedy usłyszeli, czego pierścień może dokonać, obydwoje pobiegli do beczki i zanurzyli ręce w wodzie szukając go.

Lajbel wyskoczył, podbiegł do Doboszowej i Lapiduta i zakreślił kredą wokół nich krąg.

Kiedy obydwoje nie zdołali znaleźć pierścienia w beczce, wyprostowali się, zamierzając wrócić do stołu, lecz nie mogli przekroczyć magicznej linii, która ich opasywała.

— Cóż tu się dzieje? — mruknął Lapidut.

— Cóż to za koło?! — wykrzyknęła Doboszowa.

Rajce, Lajce i Najce stały z szeroko otwartymi ustami.

Herschel i Welwel siedzieli nie odzywając się ani słowem, jakby ze zdumienia stracili mowę.

oto co się wydarzyło. W chwili, gdy Lajbel miał wypowiedzieć błogosławieństwo, spojrzął na Doboszową i nagle uderzyło go to, że przypomina czarownicę, którą widział w koszmarnym śnie. Rzucił przelotne spojrzenie na Lapiduta i rozpoznał w nim diabła ze swego snu. Lajbel, który studiował kabałę i wiedział coś niecoś o sztuczkach złych duchów zrozumił, że tu święci się coś niedobrego i że musi natychmiast zadziałać. Wymyślił historijkę o pierścieniu, aby przeskodził chłopcom w zjedzeniu posiłku.

Zamknięci w magicznym kole, Doboszowa i Lapidut po raz pierwszy w swym życiu byli więźniami. Kiedy Lajce, Rajce i Najce przekonały się, że Doboszowa i Lapidut utracili swą moc, opowiedziały młodym ludziom o wszystkim, co wycierpiły pod działaniem czarów niegodziwej pary.

Wszystkie trzy miały rodzeńców, siostry i braci, którzy z pewnością ich poszukiwali, lecz ponieważ droga do gospody była zaczarowana, krewni nie mogli ich odnaleźć.

Kiedy dziewczęta opowiadały, jak zostały wywabione ze swych domów, Doboszowa przez cały czas krzyczała i wymachiwała pięściami. Groziła, że je wszystkie pozamienia w jeże, szczury i skunksy. Lapidut wołał, że zachłósze je na śmierć. Lecz Lajbel zapewnił dziewczęta, że nie mają się już czego obawiać. Żeby diaby nie mogły pośpieszyć z pomocą swym pobratymcom, zakreślił kredą krąg wzdłuż całego domu i wokół wszystkich drzwi i okien.

Narysował też krąg wokół pieca, by mieć pewność, że żaden zły duch nie wejdzie przez komin.

Wkrótce okazało się, że wszystkie te środki ostrożności były potrzebne. Zaledwie Doboszowa i Lapidut przekonali się, że są usidleni, zaczęli wyzywać zło moce lasu na ratunek. Natychmiast przybyły demony, diaby, skrzaty, elfy i inne nieczyste duchy. Niektóre pojawiły się w postaci skrzydlatych węży, inne jako ogromne nietoperze, a jeszcze inne jako barany, lasice i ropuchy. Gdyby Lajbel nie zabezpieczył domu magiczną kredą, ten tłum wtargnąłby do środka. Duchy więc krążyły wokół okien, krzycząc i grożąc znajdującym się wewnątrz ludziom.

— Nie ma powodu do obaw — zapewnił Lajbel młodych ludzi.

— Nie mogą nam zrobić nic złego. Czas przygotować posiłek, abyśmy coś zjedli.

Rajce, Lajce i Najce zamiesiły świeże ciasto bez eliksirów i magicznego kminku. Upiekły bułeczki, prele i ciastka — wyborne smakołyki. Rajce najlepiej piekła ciasto, Lajce pieczyście, a Najce kruche ciasteczka. Rozkoszne zapachy wypełniły dom. Doboszowa i Lapidut bardzo zgłodnieli i błagali o jedzenie.

Lecz Lajbel oznajmił: — Nie damy wam ani kęsa, póki nie podpisiecie własną krwią zobowiązania, że opuścicie gospodę i wróćcie do niższych regionów.

Doboszowa i Lapitut nie zgodzili się na to. Diabły i czarownice mogły łatwo nie dotrzymać obietnic, lecz jeśli raz podpiszą własną krew, muszą dotrzymać słowa, gdyż inaczej utracą swą moc na zawsze.

Gdy niegodziwa para zorientowała się, że nie może zyskać groźbami, spróbowała pochlebstw. Nazwali Lajbla mistrzem kabaly. Prawili komplementy Herschelowi i Welwelowi, a nawet mieli coś miłego do powiedzenia dziewczętom. Przynękali różnorodnie podarunki. Rajce, Lajce i Najce miały otrzymać piękne suknie, drogocenne klejnoty i jedwabną bieliznę haftowaną złotymi niciami. Lapitut obiecywał nauczyć młodych ludzi niezwykłych sztuczek magicznych.

— Nie chcemy ani waszych podarunków ani sztuczek — odpowiedział Lajbel.

Całymi godzinami Doboszowa i Lapitut przeczucali się od grózb do pochlebstw. Na zewnątrz diabły dalej hałasowały, tłocząc się do okien. Młodzi ludzie wiedzieli, że są bezpieczni w środku pod osłoną magicznej kredy.

Zimowy dzień szybko minął. Złe duchy śmiały się i krzyczały, naśladując odgłosy trąb i rogów; beczwały, podskakiwały i bluźniły, przechwalały się swą nieczystą siłą. Niektóre ze stworów ciemności postanowiły kusić młodych ludzi w przebraniu pięknych dziewcząt i przystojnych szlachciców. Nagle noc przeszła w dzień. Śnieg zamienił się w oświetloną słońcem kwietną łąkę, przez którą płynął błękitny strumień. Diabeł zwany Topiel, który wciągał ludzi w wodę, aby ich w niej utopić, zaśpiewał jedną ze swych najbardziej czarownych pieśni, by wywabić młodych ludzi z domu. Lecz Lajbel nie pozwolił nikomu uleć pokusie, wyjaśniając, że to uluda.

Kiedy duchy ciemności spostrzegły, że nikt nie wychodzi, prowadziły z powrotem noc. Trzy czarne koty, o oczach jarzących się zielonym płomieniem, pojawiły się w oknie. Miauczenie ich było jak dzwonienie dzwonek. Po chwili koty też zniknęły, natomiast szalejący wicher wstrząsał dachem i gwizdał w kominie. Słychać było wycie wilków i mruczenie niedźwiedzi. Na dźwięk powietrze zabarwiło się intensywną czerwienią jakby odbłaskiem wielkiego pożaru. Zaczęło grzmieć i błyskać się, a gospoda kołysała się jak podczas trzęsienia ziemi. Młodych ludzi ogarnął lęk, lecz ufali Lajblowi, więc dalej spożywali wiewczery, gdy tymczasem diabły szalały.

— Choćby nie wiem jak potężny był demon — powiedział Lajbel — Bóg jest od niego potężniejszy.

Natychmiast po wiewczery, trzy dziewczęta rozebrały się i położyły do jednego wielkiego łoża dla dodania sobie otuchy. Zawiązały opaski na oczach i zatkały uszy watą, aby nie widzieć przerażających widoków i nie słyszeć drwiących głosów diabłów. Herschel i Welwel posłali sobie na wielkim piecu z cegły. Byli tak wyczerpani, że szybko zapadli w głęboki sen. Lajbel nie poszedł spać, aby czuwać. Wiedział, że Doboszowa i Lapitut długo nie wytrzymają. Miał w pogotowie zwój pergaminu i zastrzone gęsie pióro. Jedne po drugich potwory, znajdujące się na dworze, odeszły do swych leż. Doboszowa i Lapitut pozostali sami. Lajbel podłuchał, jak Doboszowa szeptała do Lapituta:

— Nie możemy uciec. Będziemy musieli podpisać.

— Byłbym szczęśliwy, gdybym cię nigdy nie poznał — odpowiedział jej opryskliwie Lapitut.

— Jeśli teraz nie podpiszesz — zawołał Lajbel — położę się spać i będziesz musiał czekać na stojąco aż do rana.

— Och, nie mogę już stać na nogach ani chwili dłużej — jęknęła Doboszowa.

— Umieram z głodu — zawołał Lapitut. — Nie mogę wytrzymać bez palenia korzenia mandragory. Gdybyście tylko dostarczyli mi fajkę.

— Podpisz cyrograf, a dostaniesz wszystko, czego pragniesz.

Małżonkowie nie mieli wyboru. Każde z nich nakładło nadgarstek końcem pióra i podpisało cyrograf krwią:

„Ja, czarownica Doboszowa i ja, diabeł Lapitut, przysięgamy na Szatana, Lilit i na wszystkie nieczyste siły, że opuścimy tę gospodę i nigdy nie powrócimy ani my, ani nasze dzieci, wnuki, prawnuki

każde z nas może wrócić do domu.

Lecz ani chłopcy, ani dziewczęta nie zbierali się do drogi. Istotnie, gospoda, która jeszcze przed chwilą robiła ponure wrażenie, stała się teraz przytulna i przyjemna. Śnieg lśnił w blasku słońca. Lodowe włócznie zwisały z dachu, odbijając tęczone barwy. Z pobliskich lasów dolaływały odgłosy ćwierkania i trele zimowych ptaków. Woń sosen wypełniła powietrze.

Po śniadaniu, Lajbel zaprowadził młodych ludzi do wielkiego stuletniego dębu. W jego pniu widniała wielka dziupla. W jej zagłębieniu znaleźli szkatułki pełne złota i drogocennych kamieni. Klejnoty jaśniały w mroku. Kiedy dziewczęta dostrzegły te klejnoty, wydały okrzyk radości. Lecz nawet mając możliwość zabrania tak wielkich skarbów do domu, nikt nie myślał o odejściu.

Działo się tak dlatego, ponieważ największy z czarów zaczął na nich wywierać swój wpływ.



Rys. ALEKSANDER PIĘNIAK

aż do dziesiątego pokolenia. Pozostawiamy majątek naszym gościom Herschelowi, Welwelowi, Lajblowi i naszym dawnym służącym Rajce, Lajce i Najce. Ponadto, skarb nieboszczyka, rozbójnika Dobosza, ukryty w dziupli starego dębu na podwórzu, ma odtać też należeć do wyżej wymienionych osób. Ponadto, odczyniamy wszelkie uroki, czary, złowieszcze znaki i zaklęcia nad gospodą i jej otoczeniem, rozkazując, by wszystko wróciło do stanu, w jakim znajdowało się, zanim tu przybyliśmy. Podpisano: Lapitut, syn Bryny, syn Szabryny, syn Kartajgusa i tak dalej aż do mego przodka Szatana. Doboszowa, córka Naama, córka Igrata, córka Machlata i tak dalej aż do mej babki Pierwszej Lilit”.

Targowanie się trwało tak długo, aż niebo poszarzało blaskiem świtu. Młodzi ludzie obudzili się. Obserwowali, jak Lajbel wymazał małą część kręgu wokół Doboszowej i Lapituta oraz jego skrawek pod oknem. Po czym otwierając okno, zawołał po aramejsku: „Pik, precz!”

Doboszowa i Lapitut zamienili się w cienie i zniknęli. Odeszli na pustynię pustyni, na pustkowie podziemnego świata, poza Góry Ciemności, gdzie nie ma dnia ani nocy i panuje wieczny mrok.

Dziewczęta były tak uszczęśliwione, że zaczęły plakać z radości.

— Dlaczego płaczecie? — spytał Lajbel. — Wasze troski minęły. Droga jest wolna i

Oczywiście wszystkie dziewczęta odczuwały podziw i miłość do Lajbla. Czyż to nie on przepędził Doboszową i Lapituta oraz inne diabły? Wszystkie jednak wiedziały, że Lajbel może poślubić tylko jedną z nich, a Herschel i Welwel byli tak uroczymi chłopcami. Lecz kto ma kogo poślubić?

Znów postanowiły zaufać mądrości Lajbla. A Lajbel oznajmił: — Niech każdy z nas napisze na skrawku papieru imię tego, którego kocha najbardziej i tego, którego kocha w drugiej kolejności. Potem zastanowimy się nad naszym wyborem i zdecydujemy, co zrobić.

Okazało się, że pierwszy wybór każdej z dziewcząt padł na Lajbla, lecz na drugim miejscu Rajce podał Herschla a Lajce Welwela, Najce jednak wybrała ponownie Lajbla, tak samo na pierwszym miejscu u Herschla była Rajce, a u Welwela Lajce. Jeśli chodzi o Lajbla, to on też wybrał jedynie Najce. Kiedy odczytano karteczki, było jasne, kto ma kogo poślubić.

Z początku dziewczęta sądziły, że należy odłożyć wesele, by zaprosić rodziców i przyjaciół. Lecz trzej chłopcy chcieli się zaraz ożenić i Lajbel orzekł: — Możemy zorganizować uroczystość weselną od razu, a potem urządzić wspaniałe przyjęcie i wszystkich zaprosić.

Skoro posiadali skarb Doboszowej, nie brakowało obrą-

zek. Dziewczęta znalazły duży haftowany szal, który wsparty na czterech patkach posłużył wysmienicie jako ślubny baldachim. Ponieważ było ich sześcioro, czworo spośród nich mogło trzymać baldachim, gdy dwoje stało pod nim podczas ceremonii ślubnej. Pierwszą parę stanowili Herschel i Rajce jako najstarsi. Pan młody, Herschel wsunął obrączkę na palec Rajcy i wyrecytował: — Tym pierścieniem zostajesz mi oddana według prawa Mojżesza i Izraela.

Państwo młodzi wysaczyli wino z tego samego pucharu, a pozostali zawołali: — Mazel tow.

Następnie, druga para stanęła pod baldachimem. I tak pobrali się według ścisłego prawa Talmudu.

Panny młode znalazły w szafie Doboszowej piękne suknie i choć ubrania te dawno wyszły z mody, wyglądały w nich wspaniale. Rajce i Lajce trochę zazdrościły Najce, że została wybrana przez Lajbla, lecz mimo to życzyły jej szczęścia z całego serca. I choć Lajbel studiował kabałę i był bardziej wykształcony od innych, Herschel i Welwel byli wyżsi i przystojniejsi. Poza tym, Herschel, uczeń Jesziwy, był też wykształcony w pewnym zakresie. Jeśli chodzi o Welwela, był on uzdolnionym człowiekiem interesu, posiadał też życiową mądrość. Żadna z dziewcząt nie zrobiła więc żadnej partii.

Na razie, wszystkie pary małżeńskie pozostały w gospodzie. Zawiadomili krewnych i przyjaciół, że są bezpieczni i zapraszają ich na uroczystość weselną. Ponieważ niektórzy goście musieli przybyć z dalekich stron, odłożono uroczystość do wiosny.

Teraz, gdy gospoda nie była już zaczarowana, całe otoczenie zmieniło się. Doboszowa i Lapitut rzucili zły urok na całą okolicę na wiele mil wokoło. Nagle popłynęły strumienie, pagórki i doliny pojawiły się tam, gdzie dotychczas rozciągało się płaskie pustkowie. Króliki, jelenie, dzikie kaczkę, gęsi, bażanty i inne zwierzęta pojawiły się licznie tam, gdzie dotychczas nie było żadnych stworzeń. Zima minęła, Nadeszła wiosna. Niebo było błękitne i jasne. Ziemię pokryła bujna trawa, kwiaty i krzewy. Drzewa, które zdawały się uschłe, wypuściły liście i kwiaty.

Wieści rozeszły się o gospodzie, która jak miraż ukazywała się dotychczas jedynie tym nieszczęśliwcom, którzy zabłądzili.

Uroczystość odbyła się w trzydziestym trzecim dniu, nazajutrz po święcie Paschy. Oprócz gości przybyli ludzie z całej okolicy, by podziwiać odmienioną gospodę i trzy szczęśliwe pary. Wesołkowie weselni i muzykanci przybyli z pobliskich miast, by wziąć udział w tym święcie. Magicy prześcigali się w zabawianiu tłumu swymi sztuczkami. Po wielu próbach, Lajbel zgodził się pokazać gościom, w jaki sposób działa magiczna kreda, która uratowała im życie. Wybrał ze stodoły najbardziej zadziornego koguta, postawił na stole i zakreślił wokół niego krąg. Mimo że kogut silnie bil skrzydłami, nie mógł sfrunąć ze stołu, póki Lajbel nie wytarł kredy, aby go uwolnić. Wzburzyło to ogólny podziw.

Śpiewano, tańczono i bawiono się przez siedem dni i siedem nocy. Księżyc w pełni zlewał srebrne światło na ten krajobraz. I choć nie było

dość miejsca w gospodzie dla tylu ludzi i wielu gości spało pod gołym niebem, żaden wrogi intruz nie odważył się niepokoić lub przestraszyć kogokolwiek.

Po odejściu ostatniego gościa, Herschel i Welwel mieli się udać, tak jak postanowiono, ze swymi żonami do domu. Lajbel i Najce postanowili zostać w gospodzie. — Ponieważ — jak rzekł Lajbel — ludzie nieraz błądzą, zwłaszcza w zimie i ktoś powinien zapewnić im schronienie i jedzenie.

Lajbel i Najce postanowili, że nigdy nie wezmą pieniędzy od swych gości, gdyż skarb Doboszowej uczynił ich bogatymi.

Pary małżeńskie pożegnały się i Lajbel powrócił do studiowania świętych ksiąg kabaly, której mądrości nie można nigdy całkowicie zgłębić.

W miarę jak mijaly lata, Herschel zakończył swą edukację i został kierownikiem Jesziwy. Wspomagał swymi pieniędzmi biednych uczniów.

Welwel stał się majętnym kupcem, słynącym ze swego miłosierdzia. Wszystkie trzy pary małżeńskie żyły szczęśliwie i miały wiele dzieci i wnuków. Weszło w zwyczaj, że każdego roku małżeństwa wraz z dziećmi zbierały się w gospodzie, by świętować dzień, w którym zostali uwolnieni.

Ponieważ pierścień Lajbla, obdarzony mocą przywracania starą młodości, nigdy nie istniał, Doboszowa i Lapitut przeżyli przeznaczone sobie dni i umarli. Jednak inne diabły zajęły ich miejsce. Żyły one gdzieś daleko na pustyni, w podziemnym mieście swego króla Asmodeusza. Mówią, że Asmodeusz ma brodę sięgającą do ziemi i dwa potężne rogi na głowie. Siedzi na tronie podtrzymywanym u podnóża przez cztery węże. Ma wiele żon, lecz jego faworytką jest wciąż Lilit, która tańczy dla niego co noc przy kocy muzyce diabelskiej orkiestry.

Z czasem straszna niegdyś gospoda zasłynęła jako najznakomitsza uczelnia kabaly. Panuje wiara, że dawni znawcy kabaly mogli za pomocą magii świętych słów stwarzać gołębie, utoczyć wino ze ściany i stąpać siedmiomilowymi krokami.

Gdy Lajbel był starcem, nie nazywano go po prostu Lajblem, lecz świętobliwym Rebem Lajblem. Broda mu posiwiała srebrzysto. Mógł dotykaniem leczyc chorych i wiedział, co dzieje się w dalekich miastach oraz przewidywał przyszłość. Choć Najce była zajęta swymi wnukami — z których większość miała rude włosy i zielone oczy — pomagała mężowi, przepisując gęsim piórem jego dzieła.

Gospoda stała się przystanią dla wszystkich zbłąkanych wędrowców. Mówiono, że niepotrzebne tam były w nocy świece ani lampy naftowe, gdyż o zmroku zstępowali aniołowie, serafini i cherubini, oświetlając gospodę niebiańskim światłem.

Przełożyła:

TERESA TRUSZKOWSKA

Piękny osiemdziesięcioletni

CZESŁAW MIŁOSZ: Rok myśliwego. Paryż 1990, s. 86.

Pod datą 8 XI 1987 r. w „Roku myśliwego” — najnowszej książce Czesława Miłosza, mieści się zapis będący projektem wypatrywanej, wielkiej powieści o wieku dwudziestym. Trudno uznać ten projekt za rewelację, a nawet należy spodziewać się, że wielu on rozczaruje. Akcja tej, jak pisze Miłosz, powieści międzynarodowej rozgrywałaby się na jakiejś konferencji, lub w klasztorze. Uczestniczyłyby w niej wielkie, barwne, wybitne postaci ze świata sztuki, filozofii, nauki. Miłosz wymienia wiele nazwisk stanowiących prototypy bohaterów; jeśli są nimi kobiety — to aż takie jak Hannah Arendt i Jeanne Hersch. Nie trzeba sobie łamać głowy, aby zgadnąć, że bohaterami tej powieści byłiby i Jaspers i Heidegger, i Kołakowski, i wielu jeszcze innych, na przykład uczestnicy papieskiego seminarium.

Nie jest to projekt zapierający dech pomysłowością. I nie budzi wielkich nadziei na artystyczny sukces. Nie jest także — co może najdziwniejsze — literacko niezależny. Znać w nim refleksy „Czarodziejskiej Góry”, „Imienia róży”, „Biesów”... Już samo określenie powieści „z życia wyższych umysłowych sfer” ma lekko parodystyczny posmak. Właściwie nie do wiary, aby Miłosz rzeczywiście pragnął przeczytać taką powieść. Miłosz — miłośnik haiku, zabobny wielbiciel dzikiego labędzia, fanatyk mikrowymiaru — a tu? Wielka profesorska cegła, stenogram spotkania jajogłowych jako epicka wizytówka XX wieku? Nie do wiary!

Dalej Miłosz pisze, że czuje się szczególnie uprzywilejowany mogąc snuć takie fantazje. Uprzywilejowany? Zaczynamy rozumieć: jest jednym ze świata przedstawionego tej powieści, uczestniczył wszak w wielu międzynarodowych zjazdach, rzymskich seminariach; jest przyjacielem lub znajomym mandarynów epoki. Jest postacią z projektu i bohaterem „Roku myśliwego” jednocześnie. Zatem nie stanowi ów projekt bezinteresowne rzucone pomysł. Ciągnie nas raczej w stronę swoistej rozumianej autokomentarza. Istniejącego na kształt — i pełniącego także metaliterackie funkcje — „Trio autora” z „Pałuby” Irzykowskiego.

A jeśli tak, jeśli ten zarys posiada moc modelowania lektury „Roku myśliwego”, to stawia przed czytelnikiem zadanie bez precedensu: każe czytać przeciw czysty gatunkowo dziarsz jako powieść. Konsekwencją takiego nałożenia się dwóch konwencji lektury jest konieczność znalezienia wspólnego punktu tego dziennika i powieści; punktu, w którym byłyby styczne lub tożsame, a jednocześnie zachowały nie wywijkające się spod kontroli konwencji gatunkowych — niezależne płaszczyzny diariusza i powieści.

Takim punktem, zwornikiem, trzpieniem szepiącym luźne karty powieści i dziennika jest świat pisania o sobie — najoczywistszy rygor pierwszoosobowej powieści i jednocześnie zasada organizująca sensy literatury dokumentu osobistego (wszelkie szczegóły na ten temat w I rozdziale

zapadającej w pamięć książki Romana Zimanda „Diarysta Stefan Z.”, wyd. Ossolineum 1990).

Ale diariuszowy idiom, jakim jest „świat pisanie o sobie” — sam nie stanowi uchwytu interpretacyjnego — jest tak ogólny i oczywisty. Z drugiej zaś strony, tradycja narracji pierwszoosobowej powieści podpowiada realizację tak różną, że z pewnością wiele odłamków tych rozwiązań da się odnaleźć w każdym dzienniku. Tu zaś nie chodzi o to, by dowiedzieć tego co wiadomo, że literatura dokumentu osobistego posługuje się chwytami literackimi, lecz — by wskazać szczególnie aspekt tych literackich okruczeń. Innymi słowy — należy zadać pytanie o to, czy niewątpliwie literackie nawiązki diariuszowych zapisów Miłosza nie przynoszą krystalizacji czegoś, co z kolei wzbogaci epikę sensu stricto. Szczegółowo już, trzeba zapytać — słuchając wypowiedzi intuleji — o pozycję snującego dziennikowe zapisy. Używając Bachtinowskiego skrótu myślowego, można by zaryzykować, że jest to pozycja „na progę”. „Próg” analizowanych przez Bachtina „dialogów sokratycznych” jest progiem ludzkiego życia, sytuacji najbardziej przełomowych, sytuacji bilansu, spowiedzi. W tym sensie pisarskie domykanie ósmej dekady życia, często przez Miłosza podkreślany wątek wnikania pod podszewkę świata, przenikanie specjalnych granic — pozwalają na uruchomienie znaczeniowych predyspozycji gatunków powagi — śmiechu, łączących się z „Rokiem myśliwego” klarowną kwestią Don Kichota: „Oto co wnioskuje o życiu...”.

Jednak rozpatrywanie dziennika Miłosza na tle tradycji gatunków literatury skarnawalizowanej — choć słusze — jest w gruncie rzeczy mechanicznym stworzeniem problemu. Wróćmy więc do punktu wyjścia tej dygresji — tak zwana „progowa” sytuacja, mogąca otwierać perspektywę na sensy literatury seriokomicznej, wydaje się mieć coś osobliwie własnego! „Próg” we wspomnianej tradycji jest progiem abstrakcyjnym, problemowym; jest sygnałem ostatecznych myślowych rozstrzygnięć. Natomiast „próg” Miłosza

jest silnie przestrzenny. Ta cecha wyobraźni, o której sam Miłosz mówi, że skłaniała go do rysowania map nie istniejących krajów, opanowała — by tak powiedzieć — czysto filozoficzny lub teoretyczny aspekt progę. Z żarliwą prostotą można by powiedzieć, że Miłosz zagospodarowuje „próg”. Uprzeźnienia go. Przemienia mrok w kraję. Znajdują życiodajne soki tam, gdzie człowiek dociera na ogół w milczeniu, w modlitwie, w przerażeniu.

Miłosz wieszczy, podsumowuje, bilansuje, wciąż wymyka się czytelnikom, a nawet sobie samemu. Zaprzecza, kluczy, jest dramatycznie szczery, to znów kokietuje, jest mędrcom, który jednakowoż zgłębia swą próżność, małe żale i zawiści. Jest hojny i skąpy jednocześnie. Otwarty i tajemniczy. Przenikliwy i despotycznie demagogiczny.

No to co? Szarpanina na progę! Z heliotropem w tle? Przy nieustannym czuciu zapachu siarki i ze wrokiem w niebiosach? Tak! Ale nie jedynie. Gestem spoza reżyserowanych ambiwalencji jest problem uchwycenia punktu poza spekulacjami.

Ten wybitnie spekulujący umysł i szelmowska pasja autokreacji wypalają się raz po raz dając czysty kruszec aforyzmu, maksy, przesłania.

Z bardzo bliska widać kontury świata — piękne pejzaże, frapujące szczegóły, dramaty natury. Z bliska dochołdzi gwar rozmów, stanowisk, w kolejce do fotografii ustawiają się ważni z epoki i ważni z gospodarstwa poezji. Wtedy Miłosz bywa kronikarzem, świadkiem, profesorem, bywalcem słoń, podróżnym świata, myśliwym. A jednocześnie dokonuje sztuki najtrudniejszej — z myśliwego przeobraża się w zwierzyne, nie przestając na boku snuć tego niezależnego monologu, pełnego zdań pytań, zatrwożonych, najtrudniejszych, odbierających nadzieję — monologu, jednego z wielu, konstruujących nie napisaną powieść końca XX wieku, o pięknych osiemdziesięcioletnich.

Magdalena Lubelska

ESEJE PAZA

OCTAVIO PAZ: Pochmurno. Tłum. Elżbieta Komarnicka i Rajmund Kalicki. Wstęp: Rajmund Kalicki; Wydawnictwo „Spacja”; 1990.

„Pochmurno” to dzieło esejów napisanych przez Octavio Paza na początku lat osiemdziesiątych. Przedmiotem rozważań autora jest współczesny świat, cywilizacja XX wieku, która, pomimo że złożona i różnorodna, jest według niego, na obecnym etapie rozwoju ludzkości, cywilizacją jedyną. Paz — myśliciel i poeta — ma silną świadomość przynależności do tej cywilizacji, a swoje powołanie odnajduje w przeżywanym jej i w krytycznej obserwacji. „Pochmurno” jest wyrazem takiej właśnie postawy krytycznego otwarcia na świat.

W pierwszej części książki Paz docieka przyczyn takich przejawów kryzysu moralno-duchowego w Europie Zachodniej jak bunt młodzieży w latach sześćdziesiątych i późniejsza fala terroryzmu. Surowo ocenia zachodnioeuropejskich polityków, „specjalistów od układów uwielbiających status quo”, niezdołnych natomiast do sprostania problemom, jakie stawia przed nimi teraźniejszość. „Uderza kontrast pomiędzy ogromem problemów, które stoją przed ludzkością XX wieku, a skromnością programów i rozwiązań, które proponują rządy i partie Europy Zachod-

niej”. Liberalizm zdołał wprowadzić zapewne społeczeństwu dobrobyt i „coś w rodzaju równowagi duchowej, wynikającej z dostępu do pracy i konsumpcji”, ale jak długo jeszcze Europa Zachodnia utrzyma się w tym stanie, odwrócona plecami do reszty świata? — zapytuje Paz.

Przedmiotem jego krytyki jest także Związek Radziecki, który, będąc „społeczeństwem zhierarchizowanym, bardzo mało podatnym na zmiany”, zdaniem Paza już z samej swej natury nie może się rozwijać. „Rosja nie może się poruszyć, ściślej mówiąc — jeżeli się poruszy, zdepcze sąsiada, albo runie i zawali się sama na siebie”. Słowa te zostały napisane przed pojawieniem się na scenie politycznej Gorbaczowa, ale sytuacja, w jakiej dziś znajduje się pierestrojka, zdaje się tylko potwierdzać ich słuszność. Porównanie pomiędzy radzieckim i amerykańskim imperiaлизмом wypada zdecydowanie na korzyść tego drugiego, co nie znaczy absolutnie, że Paz jest bezkrytycznym piewą północnoamerykańskiej demokracji i zwolennikiem hegemonii Stanów Zjednoczonych we współczesnym świecie. Jako Meksykanin nie mógłby zająć takiego stanowiska.

wszak w jego kraju niechęć do północnego sąsiada jest równie silna jak w Polsce antysowietyzm. Ale i tutaj Paz nie poddaje się powszechnie obowiązującym opiniom. W esejach „Meksyk i Stany Zjednoczone. Argumenty i kontrargumenty” stara się dociec przyczyn konfliktu pomiędzy dwoma społeczeństwami, różniącymi się zasadniczo, ale też pochodzącymi od tej samej cywilizacji. Stosunki Stanów Zjednoczonych z Meksykiem i innymi krajami Ameryki Południowej nigdy nie były dobre, na tym tle powstało niezmiernie dużo uprzedzeń po obu stronach. W tym świetle próba w miarę obiektywnego spojrzenia, podjęta przez Paza, jest szczególnie cenna i interesująca, również dla polskiego czytelnika, który nieczęsto miewa okazję do tak diametralnej zmiany perspektywy.

Paza interesują nie tylko mocarstwa, wiele uwagi poświęca krajom tzw. Trzeciego Świata w Ameryce Południowej i na Bliskim i Dalekim Wschodzie. Zatrzymuje się dłużej nad problemem odradzania się fanatyzmów religijnych i narodowościowych, widząc w tym zjawisku przejaw tego, co nazywa „historyczną zemstą partykularyzmów”. Jego zdaniem, „przeżywamy okres buntu inności, już nie traktowanej jako anomalia czy odstępstwo (...), tylko przyjętej jako swoista prawda, jako przeznaczenie”. Przyszłość świata, zuniformalizowanego i podzielonego zarazem, widzi w „kolektywnym uniwersalizmie”, który zastąpi XIX-wieczny „uniwersalizm systemów”. Stąd jego

zainteresowanie dla wszelkich tego typu zjawisk pojawiających się na peryferiach wielkiego świata, jak na przykład konflikt żydowsko-arabski na Bliskim Wschodzie czy ekspansja fanatyzmu szyickiego w Iranie. Interesująca jest analiza demokracji w Indiach wstrząsanej konfliktami religijnymi pomiędzy muzułmanami a Hindusami, a także próba historycznej interpretacji komunizmu chińskiego. W rozdziale poświęconym Ameryce Łacińskiej Paz stara się odpowiedzieć na pytanie: czy są nowoczesne dzisiejsze społeczeństwa amerykańskie?

Ostatni rozdział książki poświęcony jest Polsce, a napisany został w 1982 roku, bezpośrednio po wprowadzeniu stanu wojennego. Nosi on tytuł „Kronika wolności” i zawiera krótki za-

rys historii Polski zakończony przedstawieniem wydarzeń pomiędzy sierpniem 1980 a grudniem 1981. Artykuł ten, o treści raczej informacyjnej, przeznaczony był zapewne dla meksykańskiego czytelnika.

Rozległa tematyka, niejednokrotnie oryginalna, zawsze osobisty punkt widzenia, a jednocześnie imponująca kompetencja i erudycja Paza sprawiają, że „Pochmurno” czyta się z zainteresowaniem, nawet jeśli nie do końca podzielamy poglądy autora (liberalizm nie jest chyba jeszcze doktryną obowiązującą w naszym kraju?).

Na podkreślenie zasługuje wysoki poziom literacki polskiego przekładu autorstwa Elżbiety Komarnickiej i Rajmunda Kalickiego.

Urszula Kropiwek

WYDAWNICTWO „ZNAK” poleca:

Jerzy Kłoczowski

CHRZEŚCIJAŃSTWO I HISTORIA
WOKÓŁ REFORMY
CHRZEŚCIJAŃSTWA
(VIII—XX w.)

Zbiór artykułów dotyczących centralnych problemów historii chrześcijaństwa od czasów karolińskich po wiek XX.

W książce w przystępny sposób zostały przedstawione założenia nowoczesnej historiografii społeczno-religijnej oraz fundamentalna sprawa ciągłości i reform Kościoła w dziejach europejskich i polskich społeczności chrześcijańskich.

Zamówienia: Społeczny Instytut Wydawniczy „ZNAK”, ul. Kościuszki 37, 31-105 Kraków, tel. 21-97-94, fax: 219814.

Dobre maniery a sprawa polska

S. THEMERSON: Euklides był osłem. Tłum.
I. Szymańska. Warszawa 1989.

Nie lubimy, żeby nas wysmiewać. Nie lubimy, żeby nas pouczać. Lubimy słyszeć, że my — rodzaj ludzki, a w szczególności naród polski — jesteśmy wyjątkowi, wspaniali i piękni. A że czasem coś odbiega od tej idealnej wizji? No cóż: warunki dziejowe, ustrój społeczny, położenie geopolityczne...

Jak zatem zachęcać do książki, która wyśmiewa wszystko, kpi z nas — z rodzaju ludzkiego w ogólności i narodu polskiego w szczególności — w sposób wybitnie bezlenny, bo z pozycji racjonalistycznego intelektualizmu? Przecież wyjątkowo już nie lubimy, żeby się z nas wyśmiewał siedzący w wieży z kości słoniowej intelektualista.

Jak w takiej sytuacji udowodnić, że powieść tak bardzo intelektualna, tak bardzo w dodatku prześmiewcza i złośliwa, czyta się z zapartym tchem, z uśmiechem na ustach i kończy się ją z glupkowatym wyrazem zaskoczenia, że znów zostaliśmy wystrychnięci na dudka? I że zarazem ma się ochotę raz jeszcze przeczytać karty tej książki, posprawać domysły, połączyć wątki, zastanowić się nad aluzjami. A może także zadu-

mać się nad naszym — ogólnoludzkim i szczególnie — polskim charakterem, i nad tym, co w życiu istotne.

Euklides był osłem (w oryginalnie angielskim *The Mystery of the Sardine*) — ostatnia powieść zmarłego niedawno polskiego pisarza mieszkającego w Londynie Stefana Themersona. Samo nazwisko autora wywołuje już szereg skojarzeń: przedwojenna awangarda, powojenne powieści pełne absurdu i humoru, ogromna erudycja, wszechstronne talenty — literatura, film, muzyka, rysunek... I emigracja. Nietypowa. Themersona trudno bowiem zaliczyć do tego nurtu, który niezbyt precyzyjnie nazywamy „polską literaturą emigracyjną”. Najbliższy — poprzez poetykę absurdu — byłby może Gombrowiczowi, ale to co u Gombrowicza wyraża się w emocji, krzyku, szyderstwie, u Themersona jest utkane z intelektualnej ironii.

Euklides był osłem to powieść urzekająca i irytująca zarazem, od razu jednak zaznaczam, że tylko dla tzw. wyrobionego czytelnika. Dla wielbiciela powieści brukowych, który w dodatku czuje odragę do intelektualistów, będzie tylko irytująca.

Mamy w tej niewielkiej książeczce wszystko: powiastkę filozoficzną, sensacyjną fabułę, element transcendencji, zaskakujące zakończenie, wreszcie — satyrę na lata osiemdziesiąte w Polsce. No a na okrasę coś, co nie wszyscy lubimy: trochę szargania świętości i dużo prawdy o nas.

Fabula jest skomplikowana, wątki i postacie wkraczają do akcji, aby następnie zniknąć na dłuższy czas lub w ogóle więcej się nie pojawić. Akcja przenosi się z Anglii na Majorce, następnie do Warszawy, potem znowu do Anglii, aby znaleźć zakończenie w paryskiej kafejce Bohaterowie: filozof, pisarz, młodo zmarły matematyk-geniusz, dwie lesbijki, terroryści, zblazowane nastolatki i dobrze wychowane starsze damy, oraz różne mniej lub bardziej podejrzane osobistości, blakają się po świecie, dyskutując o filozofii, poezji i dobrych manierach. Rozmawiają także o Polsce i Polakach, bowiem cechą charakterystyczną prawie wszystkich postaci jest jakiś związek z Polską. Dla kilku z nich jest to wspólny ojciec: legendarny generał Pięść (czyli Faust!), nieżyjący już emigrant, aważany przez władze w Warszawie, z punktu widzenia reżimu, ze szczególnie niebezpiecznego. Tymczasem, jeśli generał faktycznie był dla kogoś niebezpieczny, to dla kobiet w różnym wieku i w różnych krajach. Pozostawił po sobie

liczne potomstwo: od afrykańskiego dyktatora, przez włoską księżną i wdowę po angielskim oficerze, po chorego na serce trzynastoletniego geniusza matematyki. Tworząc postać generała Pięści, Themerson oczywiście szarga świętości: emigracji, białego konia, pomników. Ale powieść porusza, ironizuje, obiektywizuje także inne nasze fobie, uprzedzenia i dziwactwa, znacznie bardziej drastyczne: stosunek do antykoncepcji, problem antysemityzmu, „egzotyczną” polską religijność.

Jesteście śmieszni — zdaje się mówić Themerson do swoich rodaków w kraju. Nie jest to radosny śmiech, ani zabawna śmieszność. Jesteście śmiechu wariaci z waszym przywiązaniem do tradycji, religii i ojczyzny — wyjaśnia głos zła pieców narratora.

Ale nie jest zupełnie źle — nie tylko my, Polacy, jesteśmy śmieszni i małostkowi. Tacy są wszyscy ludzie, z wyjątkiem kilku wybranych. A wybranych, ponieważ zgodnie z literacką tradycją, okazują się ci, którzy przez tzw. ogół uważani są za wariatów: nawiązana poetka, „która nie napisała ani jednego wiersza” i sfiksowana chiromantka. Te dwie kobiety odczuwają sztuczność i nierzeczywistość naszego świata wraz z jego teoriami filozoficznymi i zamachami bombowymi. Im dłużej objawia się transcendencja: pierwszą jako wizja Prawdziwej Ziemi, drugą w formie przesłania odebranego z tejże. Nikt ich nie traktuje poważnie. I gorzej — gdy pośród ludzi pojawia się ktoś, kto z owej transcendentnej Prawdziwej Ziemi przybył, ogół przyjmuje go jako nieszkodliwego szaleńca, niektórzy (w Polsce, w sferach rządowych)

biorą go za funkcjonariusza wrogiego wywiadu, a ci, którzy żyjąc w letniskowych miejscowościach przyzwyczaili się do dziwactw natury ludzkiej, nadają mu imię: Zwariowany Kapelusznik.

Książka jest „Zwariowany Kapelusznik”, pojawiający się izodycznie od początku powieści, dowiadujemy się na samym końcu. Ale nie ludźmy się i nie zamartwiajmy się znowo: wprawdzie my nie poznaliśmy i nie przyjęliśmy transcendencji, ale też nasz sztuczny, w krzywym zwierciadle odbity świat niewiele interesuje mieszkańców Prawdziwej Ziemi. Ich wysłannik przybył do nas, aby odnaleźć fabrykę w Portimão i ni mniej ni więcej, tylko dowiedzieć się, jak są pakowane sardynki do puszek. Po co? Bo traktującego o tym przypisu brakuje w monografii poświęconej naszemu światu przygotowywanej na Prawdziwej Ziemi. Śmieszne? Śmiechu warte.

Cóż zatem pozostało „nam, co wszystko wiemy”, a naprawdę nie wiemy nie? Pewniki nie istnieją — to jest nam wykładane na niemal każdej stronie powieści. Tylko „dobre maniery są nieśmiertelne”: tak brzmi przesłanie dla nas z Prawdziwej Ziemi. Czy jest poważne i czy cokolwiek w tej powieści jest poważne — to już zostawiam uznaniu czytelników, którym życząc dobrej zabawy, przyjemności w rozszyfrowywaniu cytatów i aluzji, nieskończonej ilości interpretacji, no i oczywiście zachowania dobrych manier...

Agnieszka
Fulińska

Lógos powraca...

POWRÓT POETÓW. 224 wiersze rosyjskie w wyborze,
przekładach, ze wstępem i objaśnieniami Aleksandra
Ziemnego. Warszawa 1990.

Zacznę pozornie nie na temat. Gdy raz, przed wieloma laty, pisząc słowo do tomiku któregoś z wybitnych poetów hiszpańskich stwierdziłem, że Franco w zasadzie nie przeszkadzał opozycyjnym twórcom republikańskim w wydawaniu zbiorów swych utworów, pewien decydecnt, domorosły arbiter krytyki literackiej podkreślił dwukrotnie ów fragment, opatrzył go cynicznym „Czyżby?” oraz zadał przeróbkę. Atoli zapomniał o jednym: Hiszpania, nawet ta mauretańsko-frankistowska, była po prostu Zachodem. Tam sło wo o poety niekoniecznie musiało być owym sakralnym lógos, niekiedy wręcz morderczym dla mrocznochtionicznych sił politycznego zła. Tak było natomiast na nieco bliższym i nieco dalszym słowiańskim Wschodzie. Franco (w odróżnieniu od Stalina nie czytający poezji) zapewne myślał: „Wydałeś tomik? Na zdrowie! W nakładzie aż tysiąc egzemplarzy? Jeszcze lepiej! I cóż stąd? Przechyłać go co najwyżej tacy sami maniacy i wariaci jak ty, mój zany twórco. Tysiąc egzemplarzy? Gdyby to było dziesięć tysięcy karabinów dostarczonych górnikom bałkańskim — sprawa byłaby inna. Ale jakieś tam wiersze? Zdarzył się wprawdzie przypadek z Federico Garcia, ale to było już dawno...”

Na Wschodzie rzecz wyglądała inaczej. Tu wierzono w sakralno-magiczną siłę poetyckiego lógos. Mandelstamowi funkcjonariusze dokonujący rewizji najchętniej wydzieraliby całe wersy wprost z mózgu, z pamięci. Bo o posiadaniu ich nawet w formie pisanej (a cóż dopiero drukowanej!) nie mogło być mowy. Poeta słowiańskiego Wschodu miał prawo nosić w piersi olów D'Anthesa, ale nie świstek papieru w kieszeni.

dobnie zresztą jak *verbum* czy *lógos* traktowano tu wizerunek. To chyba wiara w magiczno-zabójczo-karzącą moc *eikón* czy *imago* sprawiła, że przeciwników politycznych ani dysydentów w żadnym wypadku nie dopuszczano

do telewizji. Nie dawano im też możliwości przemycania swych podobizn w prasie.

Cytowany na wstępie krytyk i decydecnt był więc typowo wschodnioeuropejskim produktem stalinowskiego chowu i stosował swoistą ekstrapolację. *Szto russkomu zdorowo — ispanca to że. Poliaku zresztą również.*

A zatem na tym sąsiadującym z nami Wschodzie lógos nie zawsze mogło przekształcić się w ciao. Choć mozolnie walczyło o swoje prawa. Wiadomo wszak, że częstokroć za przeczytanie tomiku „samizdatu” płacono cenę przepisaną go i puszczania w dal szary obieg. Podczas gdy niepokornych zawzięcie tepiono, drukowane w *Lit-raturnoj Gazietie* wiersze najczęściej odrzucały swą banalnością i epigonizmem. Nie lepiej zresztą działo się w innych słowiańskich republikach. Na Ukrainie choćby wszystko odbywało się zgodnie ze starą zasadą periodyzacji tamtejszej literatury: *Ta-ras Szew-czenko, ta dwa Szewczenko, ta trzy Szewczenko...*

Jak wyglądała recepcja wschodnio-słowiańskiego lógos w Polsce? U nas tę najwartościowszą i najmniej pokorną poezję zza miedzy znali tylko ci najwytrwalsi i najbardziej dociekliwi. Najczęściej również za sprawą wydawnictw emigracyjnych i druków rodzimych chałupniczej produkcji. Dziś owo lógos ze Wschodu znów powraca. Z wolna, mozolnie, ale coraz skuteczniej. Powraca — w wypadku poetów starszych, weteranów zmagających o prawa dla słowa — lub też dopiero mozolnie przebijając się na powierzchnię, jak to ma miejsce, gdy idzie o poetów najmłodszej generacji, którzy dopiero teraz zaistnieli w takim czy innym obiegu. A zatem słowo rodem z głębi Rosji wraca i dociera również do nas. Między innymi dzięki pionierskiemu wydaniu antologii *Powrót poetów*, zawierającej 224 wiersze rosyjskie w wyborze, w przekładach, ze wstępem i objaśnieniami Aleksandra Ziemnego. Antolo-

gia ta zawiera utwory aż pięćdziesięciu znanych tylko ze słyszenia lub w ogóle nie znanych przeciętnemu odbiorcy polskiemu poetów języka rosyjskiego. Od Josifa Brodskiego, Aleksandra Galicza i Warłama Szalamowa (iżby wymienić tych bardziej głośniejszych) po tych, których nazwiska jeszcze dotąd nie powstały na rynku polskim.

A więc inicjatywa i trud ze wszechmiar godne poklasku i uznania. Choćby ze względu na nie przetarty jeszcze szlak i znaczny nakład pracy. To pewne, iż mogą pojawić się zarzuty odnośnie do doboru nazwisk czy utworów. Ten i ów może zapewne uznać, iż lepsza w podobnej antologii byłaby wielość tłumaczy, dająca większe zróżnicowanie stylistyczne i warsztatowe, po prostu lepiej odzwierciedlająca różnorodność estetyk i osobo-

wości prezentowanych twórców. Ktoś mógłby się także upierać, iż jakiś tam „mocny” w oryginale rym nie wypada najlepiej jako polski asonans. Lubi — że na odwrot — że brzmi znacznie lepiej!... Lecz to już są sprawy uboczne. Najważniejsze jest, iż wreszcie doczekaliśmy się wyboru poezji z pozoru bliskiej, a jednak tak egzotycznej i słabo u nas znanej. Wyboru nie kierującego się dotychczasowymi oficjalno-dworskimi kryteriami. Miejmy nadzieję, że omawiana antologia stanowi jedynie wstęp do późniejszych wydań „monograficznych” tomików prezentowanych w niej poetów.

Reszta — jak chce Aleksander Ziemny — niech będzie po prostu czytaniem.

Andrzej Nowak

WYDAWNICTWO „ZNAK” poleca:

KRAKÓW DIALOG TRADYCJI

PUBLIKACJA PRZYGOTOWANA Z OKAZJI SYMPOZJUM
KBWE

Red. ZBIGNIEW BARAN

Jest to edycja nietypowa. O jej oryginalności świadczy sposób, w jaki przybliżyła nam tradycję Krakowa — nie jako wartość zastęglą czy też uświęconą, ale żywą, skłaniającą nadal do myślenia. Autorzy esejów zastanawiają się, do jakich uniwersalnych idei zakorzenionych w dziedzictwie miasta możemy się dziś odwołać? (K. Dedecius, A. Vincenz, H. Halkowski). Jaką rolę mógłby odegrać Kraków w budowaniu nowej świadomości tzw. obszaru Europy Środkiej? (A. Vincenz, E. Brix). Czy istnieje obecnie realna szansa powrotu Krakowa do naturalnej — rodem ze średniowiecza — konfederacji miast europejskich? (J. Purchla). Autorzy łączą finezję stylu z ironią i przekorą (esej P. Kłoczowskiego i J. Woźniakowskiego), wielkość z profanacją (szkieł T. Kantora o Wyspiańskim), uniwersalizm z polskością (portret Karola Wojtyły J. Turowicza), tradycję z awangardą (esej A. Baranowej o Grupie Krakowskiej).

str. 156, ilustr. fot.

Cena detal. 40 000 zł

wersja polska i wersja angielska

Wydawnictwo ZNAK Kraków, ul. Kościuszki 37
tel. 21-97-94, fax 21-98-14

POEZJA IMAGISTÓW

IMAGIZM, którego zwolennikami byli prezentowani niżej poeci, to kierunek rozwijający się w Anglii i Stanach Zjednoczonych w latach 1909—1917, którego protagoniści występowali przeciwko akademizmowi i retoryczności poezji późnowiktoriańskiej. Jego inicjatorami byli filozof i eseista angielski T. E. Hulme i wybitny poeta amerykański E. Pound. Zasady teoretyczne imagizmu rozwinęli R. Aldington, H. Doolittle, F. S. Flint i A. Lowell. Na dłużej lub krócej z nowym kierunkiem związali się S. Cannell, J. Cournos, J. G. Fletcher, F. M. Ford, J. Joyce, D. H. Lawrence, M. Moore, E. Storer, A. Upward i W. C. Williams. Poezja imagistyczna charakteryzowała się wyrazistością obrazu (*image*), intelektualną i stylistyczną precyzją, chętnie posługiwała się wolnym wierszem i językiem potocznym, inspiracji szukała w klasyce greckiej i rzymskiej, w poezji chińskiej i japońskiej. W latach 1914—1917 ukazały się cztery antologie prezentujące najcenniejsze utwory szesnastu autorów. Osiągnięcia imagizmu popularyzowały czasopisma: „The Egoist” w Anglii i „Poetry” w Stanach Zjednoczonych.

ANDRZEJ SZUBA

Richard Aldington

AU VIEUX JARDIN

Spędzałem w tych ogrodach
beztroskie godziny
Obejrzałem cichą sadzawkę i trzcinę
I ciemne chmury
Targane podniebnym wiatrem
Jak zielone liściaste konary
Wielobarwnych drzew późnego lata;
Lecz chociaż wszystko to
I lilie wodne sprawia mi
wielką rozkosz,
Jednak najbardziej rozczuła mnie
Biel i róż gładkich płyt chodnikowych
Z wyrastającą pomiędzy nich
Bładozółtą trawą.

*

W MUZEUM BRYTYJSKIM

Odwracam stronice i czytam:
„Marzę o cichych wersach,
w których rym
Płynie bezszelestną gondolą”.
Ciężkie stęchłe powietrze, czarne stoły,
Nachylone głowy i szelest
W wielkim gmachu
Gina...
Słońce wisi na kobaltowo-niebieskim
niebie,
Łódź unosi nad mieliznami jeziora,
Ryby jak barwione umbrą cienie
ślizgają się między falującymi
wodorostami,
Oleandry zasypują trawniki
różowymi płatkami,
A jaskółki pikują, wirują i gwizdzą
Wśród pokruszonych blanków zamku
nad Wielkim Kanalem.

*

H. D. (Hilda Doolittle)

KWITNĄCA RÓŻDZKA

(fragment)

I

O, piękne odzienie,
piękne deszczenie —
nie myślcie o Jego obliczu,
nawet o Jego rękach,
nie myślcie, jak stanimy
przed Nim;
wspomnijcie na śnieg
Hermonu;
nie spoglądajcie w dół,
gdzie w niebieskiej goryczce
odbija się geometryczny wzór
lodowej kry;

nie dajcie się zwiść
geometrii doskonałości.

bo nawet teraz
straszliwa chorągiew



Rys. ALEKSANDER PIENIEK

dawaliśmy, aż nie mamy nic
więcej do dania;
niestety, litość raczej niż
miłość dawaliśmy;

że nie daliśmy wszystkiego,
porzucimy teraz wszystko;
nade wszystko porzucimy litość

i puńmy się wyżej
ku miłości — zmartwychwstaniu.

II

Idę tam, gdzie ja kocham i
gdzie jestem kochana, w śnieg;

idę ku rzeczom, które kocham,
nie myśląc o litości i obowiązku;

idę tam, gdzie powinnam,
nieublaganie,
jak deszcz, który zalega

w brudzie; dala
albo dawałabym

życie ziarnu;
ale jeśli nie zechce rosnąć
lub dojrzeć

w tym pięknym deszczu,
deszcz wróci do chmury;

źniwiarz ostrzy stal na kamieniu;
ale to nie jest nasze pole.

nie obsialiśmy go;
nie miejmy litości, zostawmy

to Miejsce Czaszki
tym, którzy je stworzyli.

*

Frank Stuart Flint

STOŻKI

Błękitna podeszczowa mgielka
wypelnia wszystkie drzewa;

daleko, za domami,
słońce złoci wierzchołki
topolowych iglic.

To gałąź się zakolysze,
to wróbel ćwierknie.

Haftowany w róże rąbek firanki
drząc odsłania fragment
czerwonego komina.

Cisza w pokoju
cierpliwie znosi
odgłos ulicznych kroków.

*

Amy Lowell

MORSKI WĘGIEL

Szybka jak język lilii,
Prądkowana amarylka,
Wynurza się z rozlupanego bazaltu.
Bursztyn i chalcodon,
I trzask piasku
Na polerowanych wiatrem
Skalach.

*

Z CHIN

Pomyślałam:
Księżyc
Oświetlający tyle schodów pałacu
przede mną,
Oświetla także szachownicę ryżowisk
Mojej rodzinnej ziemi.
I lzy
Jak białe ziarenka ryżu
Posypały się do mych stóp.

*

Marianne Moore

KTÓRY ŁABĘDŹ TAK PIĘKNY

„Które wody tak ciche jak
martwe fontanny Wersalu.”
Który labędź
o smagłym, ślepym wejrzaniu,
skośnym,
i łapach jak wiosła, tak piękny
jak ten porcelanowy płowooki,
w zabkowanej, złotej
obróżce wskazującej na właściciela.

Hołubiony w kandelabrze
Ludwika XV — drzewie
koralowych pączków, georginii,
morskich jeży, nieśmiertelników,
siedzi w obfitej pianie
gładko rzeźbionych
kwiatów — swobodny, smukły.
Król nie żyje.

*

William Carlos Williams

AUX IMAGISTES

Myśle, że nikt nie pobudził mnie
Bardziej od was,
O, mrozem zwarzone kwiaty,
Co na zazdrosnych czarnych gałęziach
Rozwijacie skrzydła do lotu.

Kwitnijcie szybko i korzystajcie
ze słońca,
Gałązki spiskują przeciw wam!
Słyszycie?!
One chcą was zatrzymać!

Nie poderwiecie się do lotu,
Chyba że skrzydło za skrzydłem,
niespiesznie,

A przecież —
Nawet one
Nie są wieczne.

Przełożył:

ANDRZEJ SZUBA

„WESELE“ dziś?

Małgorzata Ruda

Wesele Wajdy zrodziło przeświadczenie, że Wyspiański grany w „Wolne, Polsce” innym jest Wyspiańskim niż ten, do którego przywykliśmy. To przekonanie zaowocowało przedstawieniem niekonsekwentnym, ale nie obrazoburczym. Szczegół mówiąc: nudnym i realizującym ten sam od lat znany schemat myślenia o teatrze w kategoriach politycznych. Wesele mimo, a może właśnie na skutek przesunięcia akcentów znowu odczytywane jest jako diagnoza kolejnej narodowej zapaści. Wyraźniejsze akcenty komediowe i niedramatyczność programowa drugiego aktu niczego nie zmieniły. Zachwiały tylko równowagę między tym, co symboliczne i bajeczne, a tym, co realistyczne. Postacie inteligentów pozbawione prawa do cierpienia, do przeżywania baśni o wolności popadły w przeciętność i nijakość. Pasywność duchów, podręcznikowo tendencyjne załamanie inteligencji ugruntowało tylko tezę o klęsce z óry przewidywanej, nieuniknionej. Wstręt do roztrząsania narodowych dram nie przygotował wystarczająco finałowego rozmodlenia. Nawet, jeśli przyjąć, że był nieszczerzy, że maskował ból. Lansowane przez Wajdę rozwiązania ideowe dotykają w końcu diagnoz tak oczywistych, że trudno z nimi polemizować. Zadano raz jeszcze pytanie o szansę inteligencji w tworzeniu narodowej wolności i jeszcze raz udzielono negatywnej odpowiedzi. A Wesele, sztuka o wolności niemożliwej, staje się coraz bardziej aktualna. Strada, że jej nie zagrano.

Zaczyna się Wesele Wajdy pięknie — sceną mrocznego ogrodu z mgłami i chochołami, jakby repliką z obrazu Wyspiańskiego. Potem ogród niknie i przenosimy się do wnętrza izby — sinoniebiskiej, pustej, głębokiej otchłannie i niskiej. Wielkie bele stropu czynią ją ciasną i duszną mimo nadnaturalnych wymiarów. „Na horyzoncie” biały stół zastawiony białymi talerzami i przezroczystym szkłem sam wygląda jak zjawienie. Wszystkie naczynia są demonstracyjnie puste. Biesiadnicy snują się dookoła stołu jak wokół przeszkody, przysiadają bez przekonania, przysiadają się nad nim jakąś

kwestią, walczą z przestrzenią. Nie rozmawiają. Raczej monologują. Każdy sobie... Proscenium jest miejscem niechętnych dialogów, wymuszonych, podszytych grubiaństwem — nie maskowaną obojętnością wobec partnera. Czasem, rzadko, wrogoscią. Najczęściej irytacją i znużeniem. Znają się przecież na pamięć: swoją bezmyślność, myśli i role. Rozmowa jest nawykkiem, więc choć nie mają sobie nic do powiedzenia, prychną od niechętności dawno przeżytymi słowami, wiedząc, że nie warto, drętwiąc z nudą. A nudzą się nawet sobą. Od pierwszej sceny wiedzą, że znowu zgubili złoty róg, tylko już nie chcą się im z tego powodu robić dramatu. Bez przekonania i trudu grają, co się w duszy gra znajomym, dobrze znają te indywidualne piekła. P. Jan Peszek-Pan Młody jako Stańczyk wypowiedział Dziennikarza. P. Tadeusz Huk-Gospodarz zamieni się w Rycerza — poda rękawicę Poezie. P. Krzysztof Globisz-Dziennikarz odtętni przed Panem Młodym Hetmana — ot, taka przysługa psychoanalizy. A korzyść znaczna, „znajome osoby dramatu” liściowicie nie dręczą, nie kompromitują, raczej ujawniają wyobraźnię pacjentów, raczej zdradzają temperament psychoanalizy, niż mówią prawdy bolesne. Globisz-Hetman-Dziennikarz zapląta się w dęty sen zlego dramaturga, bo zna historyczne tańce. Pan Młody-Stańczyk z wykluczającym emocje, odpychającym dystansem wysłucha ospałej spowiedzi Dziennikarza. Wie, jak śnić o mądrości bojąc się własnego błaźństwa. Gospodarz-Rycerz z pasją i fałszem aktora przywódcy wzniesie dłoń w żelaznej rękawicy, a wskaże na półpancerz zawieszony estetycznie nad kanapą. Rozwścieczony stuporem Poety pokaże mu rekwiizyt i rozkrzyczy się ponad rytuał tej gry, której słowa znane są jak modlitwa i martwo wyklepywane z patosem. Poeta Jerzego Treli nie reaguje już na nic, nawet własne chamstwo go nie bawi — obojętnie rzuca burkliwe słowa w partnerów jak w ścianę. Nie interesuje go reakcja. Wciąż rozłargniony, rani świadomie, a od niechętności — z przyzwyczajenia. Ręce najbardziej lubi

trzymać w kieszeni, siadać wtedy, gdy panie stoją. Jednakowo nie chce bawić się flirtem i prowadzić rozmów istotnych. Z trudem znosi poezję Racheli, jakby jeszcze odczuwał coś na kształt zazdrości. Jakby wiedział, że jej prawda zagraża mu, więc wcale „po kupiecku” wykręca się, tuszując grubiaństwem jakiś cień wzruszenia, podziwu. Obiecuje, co do wiersza zapłacić wierszem za niewytrącanie go z nieistnienia, nieuczucia. Rozrzewnienie niszczy w sobie. Interesuje go tylko Nos, jego „choroba serca”. Trzeźwo widzi siebie w tym preparacie człowieczeństwa. Nawet duchy sprasza pod presją cudzej poezji, nagle wciągnięty w taką inscenizację, na jaką jego wyobraźni już nie stać. Jeszcze jakaś szorstka czułość pod adresem Panny Młodej zdradza wrażliwość. Zamknięty w łatwym grubiaństwie, wciąż wściekły, niechętny równie obcy jest poezji jak daleki od erotomanii. Treła nie pozwala poecie na ekspiację rozpacz, na cierpienia inteligencji, skazuje go na nijakość, zamyka w sobie. Narodowa drama rozgrywa się na oczach człowieka, który nawet nie ma zamiaru zmierzyć się z nią. Na nic go nie stać, nawet na udawanie dekadencji. Niestety pustkę i nijakość swego bohatera buduje aktor środkami tak bezbarwnymi, że Poeta bardziej nudzi, śmiechy niż „nas boli”.

Naczej Pan Młody Peszka. Ten antypatyczny, starszawy jegomość, który wdał się w awanturę miłosną z energiczną wiejską panną i teraz „ciągnie tylko gada o tem” strasząc wykrzywioną, białą maską twarzy, gwałtownymi, groteskowymi ruchami, niekonsekwentną w celebrowaniu i ośmieszaniu siebie — dramat układa z sobą w roli głównej. Raczej erotyczny niż narodowy, choć się ogromnie stara, abyśmy między jednym i drugim zauważyli związek. Więc ze zdumieniem zauważamy. Rozeźlona Panna Młoda, rozdygotany Pan Młody zagadujący strach lub klęskę uczestniczą raczej jednak w dramacie miłosnym niż patriotycznym. Miłosna perypetia wraz z nocą weselną kończy się chyba dobrze pięknym i wzruszającym mi-

łosnym duetem o domu-dwórze modrzewiowym i o sadzeniu drzew. Panna Młoda D. Segdy już syta i spokojnie szczęśliwa zdobywa się na trud zrozumienia marzeń małżonka wbrew swojej trzeźwej wiedzy, że „brzoza strasznie szybko puszc”. Pan Młody w tańcu miłości odnajduje smak życia. Tylko intensywność, zaciekleść, z jaką pograża się w miłosnym transie-tańcu, każe podejrzewać ucieczkę, fortel, którymi chce oszukać nudnie skrzeczającą jawę.

To nie jest jego indywidualny pomysł. W Wesele anno Domini 1991 mężczyźni uciekają przed życiem, historią, bólem istnienia w ciepłe ramiona wyrozumiałych i współczujących kobiet. One leczą ich strachy, historie. One tylko mają w sobie siłę i naturalność, strzegą prawdy. Mądre i trzeźwe w szczeniście pensjonarskim, zapobiegliwe MATKI i ZONY, wrażliwe KOCHANKI, obdarzone intuicją i wyobraźnią, silne i zdecydowane unicestwiają fałsz i kłamstwo świata. Zosia (Marta Kalamus PWST), Haneczka (I. Noszczyk PWST), Panna Młoda (D. Segda), Gospodyni (A. Dymna), Marysia (B. Grabowska) — nawet Rachel, poezja w świecie brudnej prozaiczności. Aldona Grochal gra tę modernistyczną sawantkę bez cienia sztuczności, serio i tragicznie. Jej Rachel pełna miłości i lęku, oczekiwania i pragnienia stwarza poezję i miłość wbrew rzeczywistości. Kreuje partnerów posłuszną tylko swej wyobraźni, potrzebie piękna i dobra, nie pogodzoną do końca z daremnością swych wysiłków, wierna temu, co w niej wymarzyło, że „się tu zacznie coś dziać”. Skazana na szyderstwo i klęskę, odrobinę prowincjonalna, do końca oczekuje cudu miłości i poezji, choć jest świadoma nieprzystawalności marzeń i życia. W jej nieśmiałości determinacji jest jakaś nerwowa ehorobliwość.

Osobne miejsce zajmuje Maryna. Sztuczna i wiecznie rozhisteryzowana istnieje, by usprawiedliwić gburowate za-

chowanie Poety. Gra na weselu Idalię z Fantazego i sentymentalną starą pannę z Nad Niemnem. A potem gorzko lka, pretensjonalnie aspirując do prawdy uczuć i emocji. Przedrzeźniająca i małpująca pannica małe ma szansę i na uwagę Poety, i na zmuszenie go do bycia serio. M. Jarosz znowu niestety nie gra roli, lecz komentarz do niej.

O narodowej sprawie w Wesele Wajdy konstruktywnie myślą tylko Chłopi. Czepiec J. Grałka zapalczywy i bystry, z weselnego roztopka i osiłka przeistacza się błyskawicznie i wiarogodnie w przywódcę przeprowadzającego gwałtowny atak na winnych zdrady zaniedbania inteligentów, co zapomnieli o Wernyhorze. Reżyser każe Czepcowi wygrać do końca dwuznaczną dramatyczność sytuacji. Tragiczne apele do siedzących na kanapie i uchylających się niemrawo od ściecia (kosą) inteligentów graniczą tylko o milimetry z farsą. Czepiec Grałka łączy sprzeczne nastroje furii, zgrozą wobec absurdalności swojej i ich politycznych ról, które dramatycznie rozmijają się z potrzebą chwili.

Inscenizacyjne zabiegi nie zmierzają tylko w kierunku heroizacji ludu. Gorliwości parobków wyczekujących na Wernyhorę odpowiada „rewolucyjny”, do bebeczków rozsierdzonego przeciw panience wyspięwanemu Jaska (A. Grabowski). To Jasiek wniesie Chochoła w finałowej scenie. To Jasiek obok narodowego tańca-duru, tańca śmierci praktycznie skrobać będzie ziemniaki i skarżyć się na nadmiar roboty. To on rozwałac się będzie na „pańskie!” kanapie, prostacko kpić i płać nad śniącymi. To on, półdebel i półanioł rewolty.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI: Wesele. Reż. A. Wajda. Scenografia Krystyna Zachwatowicz, muzyka Stanisław Radwan. Premiera prasowa 12.06.1991 w Starym Teatrze w Krakowie.

Z pozycji 17 południka

Jerzy Korczak

Na początek trzeba chyba objaśnić, co oznacza tytuł tej rubryki. Gdzie znajduje się ów tajemniczy południk? Co bardziej docieklivi czytelnicy zechcą, być może, zlokalizować w geograficznym atlasie. Powiedzmy więc od razu: to swojski, prapolski, gospodarny i nobliwy Poznań. Miasto, o którym mówi się w kraju z szacunkiem, a niekiedy też i z podziwem, i z zazdrością. Miasto-przyczółek, najbardziej wysunięty ku zachodniej granicy ośrodek handlu i najrozmaitszych interesów. Tu, gęściej niż gdzie indziej, zainstalowały się liczne, dosyć tajemnicze spółki, których finansowa potęga elektryzuje zastępy chudopacholów zdążyjących w nerwowym pościgu za sponsorami. Nie, to nie złośliwość, to po prostu smutna konieczność, z którą trzeba się pogodzić. Powiedzmy też uprost: większość owych chudopacholów to przedstawiciele świata kultury. Pogoń ta zresztą rzadko daje pozytywne skutki; finansowa elita wolnej Rzeczypospolitej nie jest zbyt skora do pięknych gestów, czemu skąd-

inąd dziwić się trudno. Ma również niemałą część owych elit wyraźną skłonność do popierania dawnych, mocno skompromitowanych struktur. Trudno bowiem do takich nie zaliczyć uzurpatorskiego — powstałego osiem lat temu — „neozlepu”, którego zarząd wpadł niedawno na zadziwiający pomysł, aby właśnie w Poznaniu fetować 70-lecie istnienia Związku Literatów Polskich, rozwiązanego przecież w 1983 roku. Pieniądze się znalazły, a że nie zleciały z nieba, to więcej niż pewne. Mielismy więc do czynienia z jeszcze jednym dowodem tego jak łatwo w ludzkiej świadomości utrwała kłamstwo. Miejscowa bowiem prasa, a także, odnotowała ten fakt gorliwie i bez oporów. I cóż z protestów, sprostowań i przypomniania o nie tak dawnej przeszłości?! Fałszywi jubilei mają to w nosie. I żeby tylko oni! Na własne uszy i oczy miałem okazję się przekonać — w dość ważnym, opiniotwórczym gronie — że wszelkie objawy naszej gorczy i złości, że taki jubel mógł się w ogóle odbyć, spotykają się z zadziwiająco

obojętnością i niezrozumieniem. Cóż, pluralizm. A że to wytarte słowo staje się coraz częściej parawanem dla kłamstwa i dezinformacji — któż by się nad takimi niuansami zastanawiał. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi coś, co wiąże się z kulturą, kopciuszkiem naszej władzy. Szybko biegnący czas przynosi przecież tyle ciężkich trosk i kłopotów, że lepiej odrzucić na bok moralne pryncypia. A najmädrzej o wszystkim, co złe i podłe, zapomnieć, pogodzić się i do przeszłości nie wracać.

Zostawmy jednak te gorzkie żale. Bo istotnie, Bogiem a prawdą, nie wszystko nad Wartą zastępuje na krytykę. Także i w kulturze. Publiczność na dobre imprezy literackie wali drzwiami i oknami. O szczęściu mógł mówić ten, kto dostał się na spotkanie autorskie Tadeusza Różewicza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego czy prezesa emigracyjnych pisarzy Józefa Garlińskiego. Także i mniej znakomite literackie nazwiska ściągają czytelników do siedziby Stowarzyszenia Pisarzy i do sal uniwersyteckich.

Teraz czekamy na przyjazd legendarnego emisariusza Polski Podziemnej Jana Karskiego, który obok hiszorycznych zasług dla kraju w czasie wojny — jest również wybitnym — nym, emerytowanym profesorem w Georgetown University w Waszyngtonie i autorem jednej z najlepszych prac naukowych na temat historii Polski dwudziestego wieku pt. „Od Wersalu do Jałty” (polskie tłumaczenie smaży się w PIW od dawna; w drugim obiegu książka ukazała się w wersji niekompletnej).

Niestety, iakże zastużonego tytułu — która honorowego któregoś z naszych uniwersytetów Jan Karski nie otrzyma: mój apel ogłoszony przed rokiem w „Tygodniku Powszechnym” pozostał bez echa. Nie chcę tego faktu komentować — niech się rumienią inni. Na koniec wiadomość już w telegraficznym skrócie: rewelacyjna polska prapremiera w Teatrze Nowym. Jej tytuł „Getto”, autor Joshua Sobol, współczesny pisarz izraelski. Rzecz o wleńskim getcie — wstrząsa i przykuwa. Wielki, zastużony sukces inscenizatora Eugeniusza Korina i całego zespołu.

MŁODOŚĆ PNINA

Marta Wyka

Kiedy mój ulubiony bohater literacki, profesor Pnin, wkłada płaszcz tak, jak to czyniła stara rosyjska inteligencja, myśleć melancholijnie o jego młodości, która wyrobiła w nim te wspaniałe, niezniszczalne nawyki. Życie Pnina było zawikłane i takie zapewne miało pozostać. Ale znosi on swój los ze stoicką pogodą, nie narzeka, chociaż, kto wie, może przyjdzie mu zamieszkać w Domu Samotnych Pracowników Naukowych? Dlaczegoż to dzielny Pnin, profesor małego uniwersytetu amerykańskiego, Rosjanin naturalizowany w Ameryce, rusycysta, komparatysta a także specjalista od innych filologii, tak smutno miałby skończyć? Przecież dobrze wydawał się osadzony w tym środowisku natchnionych dziwaków, których życie reguluje rytm akademickich semestrów, niezmienny i niezniszczalny: „Skrzypiący uniwersytet nadal funkcjonował. Pilni magistranci z żonami w ciąży nadal pisali prace dyplomowe na temat Dostojewskiego i Simone de Beauvoir. Wydziały filologiczne nadal podejmowały swój trud w przekonaniu, że Stendhal, Galsworthy, Dreiser i Mann są wybitnymi pisarzami (...). Jalewi asystenci jak zwykle spełniali wymogi publikacyjne recenzując książki swoich bardziej płodnych kolegów, rzesza zaś szczęśliwych pracowników akademickich jak zwykle cieszyła się lub miała się cieszyć rozmaitymi nagrodami otrzymanymi wcześniej tego roku...”*

Pnin zaś cieszył się wynajętym, małym domkiem, rocznikami gazet rosyjskich w marmurkowych okładkach, zgromadzonymi w miejscowej bibliotece i rosnącym wciąż ząbkiem fizek trzymany w pudełku po butach, z których miało powstać wybitne dzieło naukowe... Niestety, przymioty i umiejętności Pnina stały się powodem jego zawodowej klęski. Należała do nich również znajomość języka francuskiego w mowie i piśmie, w czym Pnin niebacznie wyprzedził kolegów — amerykańskich romanistów. I tutaj przepływamy na inne brzegi — hipotetycznej młodości profesora Pnina. Urodzony u schyłku XIX stulecia w inteligentnej rodzinie rosyjskiej, zanim rewolucja zmioła i unicestwiła tę rodzinę, zdążył zakosztować obywatelstwa Europy, rozkoszy podróży i owoców domowego nauczania. Świat stał przed nim otworem w sposób naturalny i zachęcający. Pokolenia guwernerów i guwernantek przekonowały go, iż zdobywanie wiedzy jest prze-

de wszystkim przyjemnością, nie wiedział jeszcze, iż będzie emigrantem, śmiesznym Rosjaninem, próbującym sprzedawać tę wiedzę. Wiódł zaiste syberyjski żywot: pomiędzy domem wiejskim i miejskim, w rozjazdach Nord-Ekspresem na wakacje do Biarritz, przyswajał sobie zachodnie sposoby spędzania wolnego czasu, oddzielony od ludu, który miał się wkrótce zrewolucjonizować i pokazać mu drzwi własnego kraju.

Kiedy ostatnie pierścionki zostały sprzedane, opuścił Europę, aby udać się do kraju wydziedziczonych, do Ameryki. I tam właśnie uległ owemu przepoczwarczeniu, jak w powieści Kafki. Melancholijny, sentymentalny i uzdolniony student Cambridge przybrał postać niezręcznego profesora kaleczącego język tubylców. Można założyć, iż autobiografia Nabokowa jest poniekąd historią młodości Pnina: „Na początku moich studiów nad przeszłością nie całkiem rozumiałem, że czas, na pierwszy rzut oka bezgraniczny, jest w istocie okrągłą twierdzą. Nie umiając przedrzeć się do własnej wieczności, zacząłem badać jej pas przygraniczny — swoje własne dzieciństwo...”*

Tam więc spoczywa klucz, w ciemnych wodach dzieciństwa. Ale można je rozjaśnić, można je zmienić w kryształ, w którym tkwią unieruchomione, ale dokładnie widoczne, eksponaty i emblematy dzieciństwa. One otwierają wieczność i konstruują sensy dojrzałości: „To, co raz zostało zobaczone, już nigdy nie może powrócić do chaosu”.

Zatem życie Pnina to nie tylko trochę zabawna, a trochę smutna historyjka. Wyobrażam sobie duchowy bagaż towarzyszący się w jego ciasnym pokoiku: oto Pnin łowi motyle, wspaniałe okazy, brodzi po bagnach w poszukiwaniu zdobyczy, ćwiczy walca na lodowisku, jeździ do Berlina, aby wyrównać zęby, czyta amerykańskie powieści dla chłopów i uczy się na pamięć pierwszych strof „Eugeniusza Oniegina”... Z małych kamyczków układa się barwna mozaika, symboliczna i alegoryczna pospolu. Przedstawia ona Nabokowskiego bohatera literackiego, portret pisarza i syntezę czasów.

* V. Nabokov: Pnin, PIW 1987

** V. Nabokov: Tamte brzegi Czytelnik 1991

Andrzej Zaręba przedstawia



Czesław Miłosz

HYDE PARK czytelników

Z przyjemnością prezentujemy dziś 3 krótkie wiersze z zesłanu nadesłanego nam przez p. MARKA WAWRZYŃSKIEGO z Krakowa. W innym utworze — „Ars poetica” — nasz Autor pisze: Istnieją stany, które nas spotykają «niespodziewanie» (...). Nieuchwytnie (płynnie) odrywamy się od potrzeb, działań, przechodząc w stan intensywnego, wyostrego postrzegania. Po chwili stajemy się samym postrzeganiem (...). Spodobała nam się właśnie kondensacja wrażeń, swoisty imażynizm tych wierszy.

W RYMANOWIE

Nad płytą stropu faluje gąszcz trawy i porostów.
Środkiem cztery mocne kolumny
ze wzorem kielicha w listkach.
Sciana w czarnych napisach
i schodzą zwierzęta
orzeł tygrys lew i jeleń.

PORTRET W PODCIENIACH

Krzyk kobiecy i pisk kota teraz i przed laty,
przechodnie i czarna muzyka.
Wnęka wciąż pusta jak przed odsłonięciem.
Bohater odszedł.

M ało kto wie, że Czesław Miłosz przygotowuje do druku tom wierszy, który będzie nosił tytuł „Miasto nie nazwane”. Jak dowiedzieliśmy się, złożą się nań utwory z kilkunastu ostatnich lat. Zanim tom dotrze do rąk czytelników, chcemy przedstawić chociaż jeden z wierszy. Możemy to uczynić dzięki uprzejmości Autora, który nie tylko wyraził zgodę, ale sam wybrał utwór. Tak więc czekając na kolejną laureatę Nagrody Nobla, zapraszamy do przeczytania wiersza, pochodzącego z 1975 r.

Chcemy też nieskrótnie zwrócić uwagę Czytelników, że zgadzając się na publikację swego utworu w „Dekadzie Literackiej”, Czesław Miłosz wyraził swe uznanie dla niej, co napelnia nas nie skrywaną dumą.

Witold Turdza odkrywa nieznanne arcydzieła

Czesław Miłosz

MOST

Lokcie o poręcz mostu opieram chropawą,
Jakbym wrócił z wędrówki poprzez galaktyki
I w tęczujących falach płynących leniwie
Zobaczył nagle czasu kręcące się koło.
Słup nocy ponad miastem, wyżej idą chmury,
Z balkonów gwar opada, cichnie ulic klągor,
Moja krucha cielesność zamknięta pomiędzy
Pierwszym krzykiem, co błysnął pochodnią nadziei
A westchnieniem, spłowiłbym od szronu czekania.
Gdzież są te bujne włosy, upinane ręką,
Której linia wraz z karkiem była, jak są linie
Greckich rzeźb Afrodyty wychodzącej z wody?
Widzę je tak wyraźnie, pod drzewami sadu

Białymi w stopionego promieniach księżycu,
A tykot krwi ostrzega, że nie wszystko jeszcze
Rozrzedza się, zaiste, w wieczne obcowanie.

Więc ja śmieszny, tak samo, jak wtedy w tym sadzie,
Patrząc na drżące, w szumie, wody przepływanie
Wykrzywiam usta w grymas, lecz już tylko cierpki.
Jeśli to, co kochałem było tylko po to,
Ażebym został we mnie, niewypowiedziane?
Czy to co, jak sądziłem, zdołałem na zawsze
Zapamiętać: ruch ręki, odwrócenie głowy,
Palce urywające guzik, kosmyk włosów
Wijących się niesfornie, zapach snu lekkiego,
Nie dokończone słowo, niebios jasne rosy,
Pole przeświecające między leszczynami,
I szum wiatru w piolunach, i mrówkę zdeptaną,
I jeszcze blask tej gwiazdy, która dawno spadła —
Zgina, kiedy ja zginę? Nie będą trwałe dalej?

Tyle jestem konieczny ile istnieć mają,
Wieczności krótkotrwałej gorzka melancholia.

1975 r.

Wiele jest ziarenek kadzielnich na jednym ołtarzu. Jedne wprzód wpadają, inne później. A to nie stanowi różnicy.

Nie żyj tak, jakbyś miał żyć lat dziesięć tysięcy. Los wisi nad tobą. Dopóki żyjesz, dopóki można, bądź dobry.

Przemawiać należy i w senacie i do każdego człowieka skromnie i niezbyt dobitnie: wyrażać się po prostu.

Z „Rozmyślań” Marka Aureliusza

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”. Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Peressa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony Stanisław Rodziński Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska, Lucyna Walas — redaktor techniczny. Dyżur redakcji: poniedziałki, środy, godz. 13—14, tel. 22-09-85. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skró- ISSN 0867-4094